Opowieści Imci Pana Dymka

Żaka i pisarza cechowego

Spisał Klemens Bąkowski

Skład główny w Księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej w Krakowie

Odbito w drukarni „Czasu“ R. P. 1908

OPOWIEŚCI
IMCI PANA DYMKA
ŻAKA I PISARZA CECHOWEGO

Spisał Klemens Bąkowski

W KRAKOWIE RP. MCMVIII. TYPOGRAFIA CZASU

NAKŁADEM AUTORA

PERSONY PROLOGU:

Dirigens theatri. Dymek.

PERSONY OPOWIEŚCI:

Szymon Drużyński, cechmistrz.
Anna, jego żona.
Zofija, jego córka.
Paweł, jego ojciec.
Kortyni, radca miejski, wuj Anny.
Orlik, podstarszy cechu.
Lassota, Slader, Rociński, Gomółkowic, — mistrzowie.
Jan Adamowic, czeladnik Drużyńskiego.
Piotr Lubliński, wyzwoleniec Drużyńskiego.
Franek, Wojtek, — uczniowie Drużyńskiego.
Maryśka, służąca Drużyńskiego.
Ważka, kupiec.
Dymek, żak, pisarz cechowy.
Medyk.
Pleban.
Gwardyjan.
Ojciec gospodni.
Matka gospodnia.
Starszy czeladników.
Podstarszy czeladników.
Czeladnik I.
Czeladnik II.
Stróż nocny.
Kucharz.

Mistrzowie — czeladnicy.

PROLOGUS.

Na głos dzwonka wchodzi przed zasłonę — gdzie aktorowie za aplaus spektatorom dziękują — lękliwie DYMEK i chce zaraz uciekać, ale przytrzymuje go Dirigens theatri.

DYMEK *(nieśmiało)*.

Jaśnie wielmożni... jaśnie oświeceni...
Jaśnie sławetni... dobrze urodzeni,
Wielce wielebni księża i biskupi!

DIRIGENS.

Co wasze plecie? nie bądź wasze głupi!
Gdzież tu w teatrum mają być biskupi?

DYMEK.

Chciałem rzec: mości dygnitarze!
Ichmość posłowie i konsylijarze,

Negocyjanci, kupcy, rzemieślnicy,
Prokuratorzy i pełnomocnicy,
Powodowie, pozwani, zacni urzędnicy,
Profesorowie, uczeni medici,
Słowem, ty cała publiko bezecna...

DIRIGENS.

Co waść znowu plecie!
„Przezacna“ stoi w manuskrypcie przecie!

DYMEK.

Przezacna chciałem rzec, przezacna!
W takim splendorze zmylić się rzecz łacna;
Bo zbija z tropu to biednego żaka,
Gdy przed oczyma okazałość taka:
Zacne persony, białogłowy lube,
Jasne i czarne, cieniuśkie i grube...
(Dirigens szturka go z boku).
Dokoła lumen, świeczniki, marmury,
Choć ten ów z widzów ma w kieszeni dziury...

DIRIGENS.

Co znowu?! o tem mówić nie przystoi,
Ma, albo nie ma, lecz się zacnie stroi.

DYMEK.

Cóż to rzec miałem? aha! żak ubogi
Nie wstępowałem w tak wysokie progi,

Siedziałem w bursie w ubogiej komorze.
W niej stół, lawaterz, zydel, kufer, łoże,
Konewka z wodą, inkaust i skryptury;
Służyłem do mszy do ministrantury,
Potem w kollegium słuchałem dysputy,
To znów na chórze śpiewywałem nuty,
A że to wszystko nie dawało chleba,
Więc za nim chodzić, szukać było trzeba!
Toć zarabiałem, jak gdzie mi wypadło;
Chłopiętom pchałem w głowę abecadło,
Kupcom pisałem ich konta i noty,
A rzemieślnikom ekspensy, roboty,
To szewcom buty, a rzeźnikom woły,
To znów pisałem w cechach protokoły.
Sztuką pisania pomódz byłem skory,
Gdy niepiśmienny wdał się kto w amory,
A chować zawsze umiałem secretum,
Wiem co powiedzieć, nihil indiscretum!
Zawszem amory wspierał sercem całem,
Bom nie z kamienia, i sam się kochałem...
Jedna kucharka... misternej natury,
Piękna! do mojej podobna figury,
Wysoka, mocna, gruba i czerwona,
Ach! jakie kluski gotowała ona!
Jak mię kochała! Raz w kuchni z wieczora...

DIRIGENS.

Dyskrecyja Dymku, gadać to nie pora!

Więc mniejsza o to! dość, że w mieście całem
Wszelakie stany i zdarzenia znałem,
W domach mieszczańskich byłem przyjacielem,
Ordynowałem pogrzebem, weselem,
Byłem na stypach i na wyzwolinach,
W radach cechowych, na ślubach i chrzcinach,
Widziałem jako obchodzono święta,
Jak zdrowy nieraz brał medicamenta,
Słowem, że miałem casus rozmaite,
Tu i tam wiodąc curriculum vitae.
Więc autor prosił, abym z zapomnienia
Dawne wydobył na światło zdarzenia...
Zląkłem się strasznie! Co? moja persona
Ma być w theatrum widzom przedstawiona?
Toć na tę scenę wychodzą królowie,
Szlachta, rycerze i możni panowie,
Codzień tu para z miłości usycha,
Lub mąż niewierny z cudzą żoną wzdycha,
Potem się żenią, trują, abo godzą,
A zabici za chwilę zdrowiuścy wychodzą,
Wszytko się łączy intrygą kunsztowną,
Psychiczny konflikt bywa rzeczą główną,
Efekty świetlne i sztuczne nastroje —
A tych nie znały jeszcze czasy moje!
Lecz autor rzecze: proste twe powieści,
Lecz w nich się także pewien urok mieści,
Bo dawne życie świąteczne, codzienne,

Od dzisiejszego tak było odmienne!
Inne dziś trudy, inne obyczaje,
Inne zabawy dziś nam życie daje;
Dobądź więc dawne życie z zapomnienia,
Choć brak intrygi, nerwów naprężenia,
Stare te czasy są dla nas nowością,
Wielu posłucha z pewną ciekawością.
Tak zachęcony, z pyłu zapomnienia
Chcę prezentować niektóre zdarzenia.
Służba moja waszmościom! łaskawi panowie,
Raczcie posłuchać, co wam żak opowie!

(Odchodzi na bok, zasłona się podnosi).

OPOWIEŚĆ I.

Izba w domu Imci Pana Drużyńskiego. — W głębi między oknami zegar szafkowy, pod lewem oknem skrzynka (lada) na podłodze, przy prawem oknie stołki i stolik z robótkami. Na lewo: drzwi, szafa, obok ława kobiercem przykryta, stół, na nim krucyfiks, dokoła stołu stołki; na prawo: duży piec kaflowy we trzy skrzynie, dalej znowu drzwi — na ścianach portrety królów: Zygmunta III., Władysława IV. i Jana Kazimierza, obraz Matki Boskiej, za którym palma włożona. Okna w małe szybki. Sufit belkowany.

Przy piecu w głębi, na wyłożonem skórzanemi poduszkami krześle PAWEŁ, siwy, czerstwy staruszek drzemie lub liczy różaniec, krząka, uciera nos, mówi do siebie.

PAWEŁ.

Kto się w opiekę, panie, he! he! odda panu swemu!... he! he! reumatizmus ciągnie od ziemi... i na ogromnym smoku jeździć będzie...

(Krząka i mruczy, licząc różaniec).

WAŻKA
(zagląda ze drzwi na lewo i wchodzi).

Dobrze... nie ma nikogo. Stary sam, może dziś z niego wydobędę resztę. Byle nie przyszli w tę porę... *(do Pawła)* Dziadziu! jak się dziadzio ma? co?

PAWEŁ.

He! he! Pan Ważka.

WAŻKA.

Poznał mię — może się z nim dogadam wreszcie, może sobie przypomni... Pamięta dziadzio Szwedów?

PAWEŁ.

Co waść mówi?

WAŻKA.

Pamięta dziadzio Szwedów?

PAWEŁ.

Dali nam, dali! oj!! Szwedzi... tak, łupili ze skóry... łupili i w kościach łupi mię reumatizmus.

WAŻKA.

Ale pieniędzy nie zabrali dziadziowi?

PAWEŁ.

Tu, w prawej nodze...

WAŻKA.

Czy Szwedzi abo kto inny zabrał dziadziowi pieniądze z tej piwnicy, co to mówiliście, żeście zamurowali?

PAWEŁ.

Mur się wali?

WAŻKA *(do siebie)*.

I gadaj tu z nim! Co to za szczęśliwy przypadek, że stary sam ni stąd ni zowąd wygadał mi swoje sekretum o zamurowanych pieniądzach. Ale w którem miejscu? gdzie? ani sposób z niego wydobyć? Dziesięć tysięcy! i nikt o tem nie wie! Żeby tak stary przypomniał sobie!... Zawsze zaczynać trzeba z nim od Szwedów, żeby mógł rozum o coś zaczepić. *(Do Pawła)* Dziadziu! To przed Szwedami zamurowaliście pieniądze?

PAWEŁ.

Łupili lytrum... kamieniczne... kwaterowe, składki — ale dziś mię nie łupi, nie.

WAŻKA.

Mówił dziadzio, że zamurował pieniądze w piwnicy od ulicy, ale gdzie?

PAWEŁ.

W piwnicy? zimno w piwnicy... he! he! w piwnicy... pieniądze...

WAŻKA.

Ale gdzie? na prawo, na lewo, wysoko, nisko? gdzie?

PAWEŁ.

W nogach mię łupiło, ale teraz to nie... ciepło jest.

WAŻKA.

Bodaj cię... *(Do siebie)* Trzeba powoli, bo on czasem godzinę plecie jak w delirium, a potem rozgada się przytomniej. *(Do Pawła)* Gdzie dziadzio zamurował pieniądze w piwnicy? w górze? na dole?

PAWEŁ.

Hm! he! na dole? przy ziemi, reumatizmus ciągnie z ziemi.

WAŻKA.

Przy ziemi dziadzio zamurował? Dziesięć tysięcy?

PAWEŁ.

Oj! było tych zdzierców tysiące...

WAŻKA.

W której ścianie, w którym murze te pieniądze? w piwnicy, w murze, po lewicy, czy po prawicy?

PAWEŁ.

Juści w murze, przy ziemi, sześć cegieł i jeden biały kamień w środku...

WAŻKA.

Nareszcie. Czy po prawicy, czy po lewicy?

PAWEŁ.

Niech nie wie prawica, co czyni lewica.

WAŻKA.

Czy on kpi? czy co? Dziadziu? A gdzie te sześć cegieł i kamień biały w środku, po lewicy, czy po prawicy? sześć cegieł przy ziemi?

PAWEŁ.

Sześć cegieł?... poczekajno!... sześć cegieł w rogu po lewicy.

WAŻKA.

W rogu po lewicy. A czy dziadzio mówił o tem komu?

PAWEŁ.

Hę?

WAŻKA.

Czy kto wie o tem?

PAWEŁ.

Bóg wie o wszystkiem...

WAŻKA.

Żeby cię... Czy kto szukał pieniędzy w piwnicy? czy kto znalazł? w piwnicy czy kto szukał?

PAWEŁ.

Szukajcie, a znajdziecie,.. pukajcie, a będzie wam otworzono... spać mi się chce...

WAŻKA.

Oho! jak już mówi o spaniu, to słowa z niego nie dobędzie! Ale wiem już dość: sześć cegieł, w środku biały kamień, przy ziemi w rogu po lewicy. Trzeba się przekonać! piwnicy nie zamykają, zejście prosto z sieni... nikt nie pilnuje — bo nikt prócz mnie i dziadzia nie wie, ile tam grosza!... a dziadzio nie powie nikomu, bo nikt z nim dyskursu prowadzić nie umie. Trzeba postarać się o latarkę krytą, aby kto światła nie zobaczył. Sześć cegieł, w środku biały kamień... w rogu po lewicy... dom... dziesięć tysięcy! dziesięć tysięcy!...

jedynaczka... zaraz deklaruję się o rękę Zofiej... Sześć cegieł, w środku biały kamień... Słychać kroki — ktoś idzie — teraz to nic mi nie wadzi.

(Anna, Zofija i Szymon wchodzą z prawej strony).

SZYMON.

A! Pan Ważka! Pomagaj Bóg!

WAŻKA.

Daj Bóg na wieki! Stopy całuję pani cechmistrzowej i jejmościanki panny.

ANNA.

Niechże waszmość siada.

SZYMON.

Radzi was widzim u nas.

(Siadają, Anna zajęta robótką).

WAŻKA.

Życzliwego afektu waszego sąsiada przyjmijcie afirmacyją wasze miłoście, jako i zacny potomek nadobna panna Zofija. *(Zofija wychodzi na prawo).* Szczęśliwie waszmoście z fortuną zawarliście pakta, kiedy tak w zgodnym cyrkule familiej godnie spędzacie lata. Snadno już z tego każdy przyszłe może równie fortunne wróżyć lata, gdy się taki sentyment

rysuje na liniach, które niebieski inżenier delineował na sercu.

SZYMON.

Dziękujemy waszmości za ten fawor, który waszmość dla nas obserwuje. Doznaje dom nasz nie od dziś waszej życzliwości, a pryncypalnie imć rodzic nasz, wiekiem onerowany, wdzięcznie nieraz nazwisko wasze przypomina, chocia nieraz innych nawet nie poznaje. *(Ściska rękę Ważce).*

WAŻKA *(przychodzi do Pawła).*

Jakoż tam dziadzio? hę?... Dzień dobry, dziadziu!

PAWEŁ.

He! he! ciepło, ciepło!

WAŻKA.

Mróz dziś przybrał o parę gradusów, ale tu ciepło jak w raju, prawda dziadziu?

PAWEŁ.

Hm! he? Reumatizmus... tu... po prawej nodze...

ANNA.

Tak się zwykle żali medykowi. Ale nie dolega mu to bardzo. Dziadziu! to nie medyk, to pan Ważka. Ważka!

PAWEŁ.

Aha!... wiem... sprzedaje korzenie, a chowa talary... he, he.

WAŻKA.

Ho! ho! Dawne dziadzio przypomina czasy! Dziś, pożal się Boże, trudno tynfa, a nie dopiero schować talara! Ciężkie czasy!

SZYMON.

Siadajcie, waszmość sąsiedzie. *(Ważka siada).* Ale to pół biedy kupcom, rzeźnikom, piekarzom a karczmarzom: ludzie jeść a pić muszą, to i zarobek dają — ale rzemiosło upada. Kto dziś buduje? Łata się jeno a reperuje. Ot! nikczemna robota i nikczemny zarobek!

ANNA.

Nie narzekaj ociec, nie narzekaj. Chwała Bogu bieda do drzwi nie zaziera.

SZYMON.

Nie neguję — ale gorsze czasy. Król, panowie, siedzą teraz w Warszawie, tam stolica! Pałace od czasu szwedzkiej inwazyej porujnowane, obywatele nie przyszli jeszcze do siebie po łupiestwach Szwedów, nie płacą robót bez admonicyj, abo nawet skargi. Trzeba posłać

po pana Dymka, aby po sesyej zrobił ausczugi z księgi i popisał noty dla debitorów.

WAŻKA.

Po pana Dymka? toć on i u mnie pisuje, i u pana Kortyna i u pana Cyrusa... widać jest generalnym skryptorem.

SZYMON.

Ma w tym interesie wielką eksperyencyją i choć czasem pałkę zaleje, to się nawet o półgroszek nie omyli, a dom cały przy tem konceptem zabawi, wiersze składa, jasełka pokazuje... właśnie dziś ma być uczeń z mego warsztatu wyzwolonym w cechu, więc pan Dymek musi spisać sesyją, a potem moje noty.

WAŻKA.

A! to ma być sesyja! to i nie będę impedymentem. Żegnajcie wasze miłoście. Ukłony pannie Zofiej pozostawiam. *(Odchodzi na lewo).*

SZYMON *(do żony).*

Widzę że Zochna negliguje pana Ważkę... człek dostatni, ma kamienicę... kupiec, okazuje rzetelny zdaje się afekt, a ona wychodzi, ile razy przyjdzie... *(woła)* Franek! Franek! *(Franek boso wchodzi z prawej strony)* Franek! weź ladę

za drugie ucho, postawimy ją na stole! *(biorą za uszy skrzynkę z pod okna i stawiają na stole przed krucyfiksem).* Teraz wzuj buty, bo mróz, i biegaj do bursy — wyszukaj pana Dymka i powiedz, żeby tu zara przyszedł do sesyej i spisania rachunków.

FRANEK.

Dobrze panie.

SZYMON.

Potem pójdziesz do gospody i zaniesiesz ojcu gospodniemu i matce gospodniej kosz z miodem, który ci jejmość da potem.

FRANEK.

Już lecę. *(wybiega na prawo).*

SZYMON *(woła).*

Pietrek! Pietrek! *(Piotr wchodzi z prawej strony).* Ty Pietrek — a właściwie od dzisiaj panie Piotrze — wynijdź witać panów mistrzów i prowadź, gdy przyjdą, nasamprzód do warsztatu, aby oglądnęli twój gezelsztyk.

(Piotr odchodzi na lewo).

SZYMON *(woła).*

Zochno! Zochno! *(Zofija wchodzi z prawej strony).* Przygotuj Zochno dzban i puharki.

ZOFIJA.

Już przygotowane w kuchni.

SZYMON.

Postaw je na stole.

ZOFIJA.

Będą zaraz. *(Odchodzi na prawo).*

SZYMON
(chodzi wielkimi krokami po izbie).

Nic, jeno jej ten Adamowic w oko wpadł... aczby mi tego przzała, nie uwierzę... *(Zofija wraca niosąc na tacy dzban i puharki, które stawia na stole, a potem wychodzi na prawo).* Już ja miarkuję, co to znaczy. Nic innego, jeno wpadł jej w oko Adamowic... On też jej nadskakuje... muszę temu koniec uczynić... Pan Ważka... to przecie zacny obywatel!

ANNA.

Nie przeczę, że pan Ważka zacny kawaler... ale jakby się Zochnie Adamowic podobał, toć trudno iść przeciw sentymentowi!

SZYMON.

Aśćka po białogłowsku rzeczy rachuje. Toć Ważka obywatel... kupiec zacny — może rajcą

zostanie — a Adamowic co? towarzysz zwykły, skądś z Lublina, ani go kto zna, abo wie!...

ANNA.

Toć ma list od urodzaju, lerbryf i rekomendacyją, syn mistrza, a ociec ma pono dom w Lublinie...

SZYMON.

Wielka rzecz! takich zięciów znalazłbym stu, jeno wyjść na rynek i krzyknąć! Ważka kupiec... ma kamienicę — oszczędny, to musi mieć i grosz złożony...

ANNA.

Ale jeżeli Zochna —

SZYMON.

Młoda dziewczyna, głupia jak każda białogłowa, co ona wie! Za dzieci rodzice deliberować muszą i roztropniej o ich fortunie zdecydują! Ważka byłby się dawno deklarował, gdyby dziewczyna rozum miała — ale ile razy on przyjdzie, to ta abo wyjdzie, abo ledwie półgębkiem odpowie — abo go utnie jak osa... już ja temu koniec położę. — Wojtek! Wojtek! *(Wojtek wchodzi z prawej strony).* Zawołajno pana Jana.

(Wojtek wychodzi).

ANNA.

Mój Szymonie... Toć pogadaj z Zochną pierwej, jeżeli między niemi jest afekt rzetelny, a człek poćciwy...

SZYMON.

Już tam rodzic wie najlepiej, jak ufundamentować szczęście dziecka...

(Jan wchodzi z prawej strony).

JAN.

Waszmość mię wołał?

SZYMON.

Hm!... tak... muszę waści powiedzieć... że jako ociec muszę dbać o fortunę dziecka... i już obmyślałem los córki... a że uważam, że wasze... panie tego... może jakowe ma nadzieje... panie tego... aby afektu nie budzić... lepiej będzie panie tego... jak wasze gdzie indziej o sentymencie pomyśli...

JAN.

Wasza miłość... raczcie dać ucha mej prośbie... nie decyduj wasza miłość bez wysłuchania... toć nie jestem z ulicy... racz wasza miłość napisać do Lublina... dowiedzieć się o kondycyej mojej i mojego rodzica...

SZYMON.

Nie ubliżam kondycyej waści... jeno już inaczej zadecydowałem i inaczei być musi. Dlatego niech waść poszuka sobie roboty w innym warsztacie.

JAN.

Wasza miłości... bez zezwolenia waszego... nie śmiem podnosić oka na pannę Zofiją... ale raczcie nie spieszyć... raczcie dowiedzieć się o mnie, o mojej familiej, zapytać pannę Zofiją!

SZYMON.

Za Zofiją ja odpowiadam. Mam inne zamiary i waść sobie to wyperswaduj. Żeby nie powiedziano żem waści wygonił, będziesz dwie niedziele jeszcze w warsztacie, a potem niech Bóg wszemogący waści prowadzi...

JAN *(do Szymona i Anny).*

Wasze miłoście...

SZYMON.

Wyperswaduj to sobie waść i bywaj zdrowy!

(Jan kłania się i wychodzi na prawo).

(Dymek wchodzi drzwiami na lewo w czarnej sukni na kształt księżej rewerendy, przepasany czarnym

paskiem, za którym ma łyżkę i piórnik, — z pod otwartej na piersiach sukni widać czarny żupan; buty czarne; w ręce czarna czapka barankowa).

DYMEK.

Benedykuje całemu domowi i całuje ręce pani cechmistrzowej. Uf! ale tu ciepło jak w raju! W bursie, pożal się Boże, jaka parsimonia opału! Jeno u księdza seniora, prowizora i w kuchni palą jak w czeluściach piekielnych, ale w kamerze biednego studenta to inkaust w kałamarzu zamarza... Witam dziadzia!

SZYMON.

Czasby już, abyś waść z bursy przeszedł na jaką prebendę! długo czekamy na promocyją!

DYMEK.

Stanie się, jeżeli tak w niebieskiej zapisano metryce — ale coraz mniej czuję animuszu do kapłańskiego stanu. *(Wchodzi Zofija z prawej strony).* Składam pannie Zofiej winną admiracyją! Libenter zostałbym biskupem — w takiej wysokiej infule *(pokazuje)* z pastorałem w prawej ręce, z pierścieniem na lewej — a panna Zofija musiałaby mię w rękę pocałować...

ZOFIJA.

Niedoczekanie waści!

DYMEK.

Abo i kanonikiem — z takim łańcuchem na szyji... w pelerynie... ale ostać mizernym klechą — to się waguję i deliberuję ciągle.

ZOFIJA.

Pan Dymek ma więc wokacyją na biskupa, a nie na księdza?

DYMEK.

Taką już mam inspiracyją. Nieraz śniła mi się infuła i pastorał, to jest omen. Cóż to za papier trzyma panna Zofija?

ZOFIJA.

Chciałam waści pokazać moje pensum, że nauka waści w las nie poszła: wypisałam panu ojcu notę ekspenzy. *(Podaje mu papier).*

DYMEK *(czyta).*

Nota! aha! dla imci sławetnego Jo... Joana... Jana? Kar... Tar... Mar...

ZOFIJA.

Dla pana, nie Jana, Bartłomieja Zgłobickiego!

DYMEK.

To ma być pana? A przecież P to kółko, a przed niem laska osobno. A to? Bartłomieja?

to B?... przecież B powinno mieć brzuszek, a gdzież panna Zofija ma brzuszek? gdzie tu brzuszek?

ZOFIJA *(wyrywa mu papier).*

E! kiepski z waćpana preceptor, kiedy mię lepiej pisać nie nauczył!

DYMEK.

No! no! to się jeno mówi dla zachęty... ridendo castiga mores! Proszę się o to nie gniewać, a za to kiedyś napiszę pannie Zofiej piękne epithalamium!

ZOFIJA.

Co takiego?

DYMEK.

Epithalamium — wiersz weselny... Jak to zacnie wyglądać będzie, jak typographus wyeksprymuje epithalamium mojej kompozycyej..., już mi przychodzi do głowy intytulacya, na ten przykład: Melodyja krzykliwego na wiosnę słowika przy rozkwitłej gęstwinie od wesołej Kaliopy wysłuchana, a przez pana Jana Dymka rytmem poetyckim rozgłoszona, przy przezacnym akcie weselnym oblubieńców Imci Panny Zofiej Drużyńskiej z Imci Panem...

z Imci Panem... jeno nie wiadomo mi jeszcze tego szczęśliwego Imci Pana...

ZOFIJA.

Daleko jeszcze do tego... do tego czasu to może waść zostanie i biskupem.

DYMEK.

Ho! ho! śnił mi się pastorał i infuła!

ZOFIJA.

To trzeba zacząć od księdza.

DYMEK.

Wezmę to pod deliberacyją jeszcze.

SZYMON.

Ale nim waszeć co wydeliberuje, spisz tymczasem moich debitorów.

(Dobywa z szafy księgę i papiery).

DYMEK.

Zrobi się wszystko expedite — księga jest, papier jest, pióro i kałamarz przy boku *(dobywa piórnik z kałamarzem z za pasa)*, głowa na karku, jeno tu *(pokazuje brzuch)* jakoś słabo.

SZYMON.

Znana to waści słabość. Dajno Zochno panu Dymkowi tymczasem dzbanuszek z obwarzankiem.

DYMEK.

Ten większy!

(Zofija wychodzi na prawo i po chwili przynosi dzbanuszek i obwarzanek na tacy, które stawia z boku na stole przed Dymkiem).

SZYMON.

Potem zapisze waść sesyją do księgi cechowej.

DYMEK
(do Zofiji stawiającej mu dzbanuszek).

Gratias ago! *(je, pije).*

SZYMON.

A po sesyej skończy waść noty, bo ich nie wiela.

DYMEK.

Biorę się zaraz ad rem.

SZYMON.

Nie wiela się tego roku zebrało, to waść wprędce po sesyej skończy. Słyszę, że już się panowie zeszli.

(Głosy za drzwiami na lewo — poczem temiż wchodzą: Orlik, Lasota, Rociński, Slader, Gomółkowic i kilku mistrzów, wreszcie Piotr, witają się z Szymonem, Anną, Zofiją i Pawłem, potem z Dymkiem, który na rogu stoła na końcu się sadowi).

ORLIK.

Czołem pani cechmistrzowo!

ANNA.

Witajcie wasze miłoście!

ORLIK.

Dzień dobry, dziadziu!

PAWEŁ.

He! he! tego... ciepło...

ORLIK.

Chwalić Boga za taką starość! Wychował syna i wnukę, a da Bóg niedługo doczeka prawnuka!

ŁASOTA i GOMÓŁKOWIC.

Daj Panie Boże!

ROCIŃSKI.

Życzymy wszystkiego najlepszego.

SZYMON.

Dziękuję waszmościom — dziękuję.

(Ściska im ręce).

ORLIK.

Jesteśmy już wszytcy?

GŁOSY.

Wszytcy! — Sąmy!

DYMEK.

Totum collegium.

ORLIK.

Zatem zasiadajmy do sesyej, aby nie być długim impedymentem w domu pana cech-mistrza.

(Dymek podaje krzesła i sadza mistrzów — robi miejsce na ławie dla Szymona usuwając Gomółkowica, który już siadł na niej — Orlik siada koło Szymona, Dymek na końcu stoła od strony widzów, Piotr stoi w głębi).

SZYMON.

Siadajcie, proszę, waszmoście — zagajam sesyją i przykazuję pokój Króla Jegomości naszego miłościwego Pana, pokój imci pana burmistrza i pokój jego ućciwej rady. Czy mam pierwszym kluczem ladę otworzyć?

GŁOSY.

Prosimy!

(Dymek nalewa z dzbana do kubków).

SZYMON

(kładzie klucz do zamku lady).

Czy mam drugim kluczem ladę otworzyć?

GŁOSY.

Prosimy, prosimy! *(Piją z puharków).*

SZYMON.

Panie Podstarszy, otwórzcie!

(Orlik wkłada drugi klucz do zamku, otwierają wierzch skrzyni, Szymon dobywa z niej księgę, którą podaje Dymkowi, i skarbonkę, oraz 2 berła cechowe, z których jedno kładzie przed sobą, drugie przed Orlikiem).

Raczcie waszmoście złożyć swe składki, a pan Lasota da dwa grosze, że negligował poprzednią sesyją.

LASOTA.

Niesłusznie, bo niesłusznie, gdyż... cóż to rzec miałem? aha! nie było mię doma jak cechę obsyłali. Ale nie żal dać grosza za dusze zmarłe!

(Daje 2 grosze do skarbony, inni kolejno po groszu).

SZYMON.

Słusznie, mości Lasota, bo poseł zrobił kółko kredą na stole, to wasze wiedział, że ma iść do cechu!

LASOTA.

Nie dojrzałem znaku, a nikt nie rzekł o tem... ale cóż to rzec chciałem?... aha! nie pójdziemy o to do wójta!

SZYMON.

Wszytcy waszmoście dali składki?

GŁOSY.

Wszytcy... wszytcy...

SZYMON.

Zapisz waść, panie Dymek.

DYMEK.

Dictum — factum.

SZYMON.

A teraz pokłoń się panom panie Piotrze i proś o wyzwolenie i przyjęcie do cechu.

PIOTR.

Kłaniam się waszmościom i proszę... jako tego... że suplikuje o wpis i o wyzwoliny.

SZYMON.

Waszmoście wiecie, że ode cztyr lat był u mnie w warsztacie. Zrobił sztukę towarzyską wedle przywileja: skrzynię ze dwiema dnoma, z drzewa jaworowego, chędogiego, z sześć par szufladami, — almaryją fladrem pofornorowaną i pisarski stół otwierany, rama w nim na gierunku poszlicowana, folunk we środku głęboki, pod miarę cerklową.

ORLIK.

Sam robił, panowie przysadni nieraz do warsztatu zaglądali.

LASOTA.

Rzetelna prawda, widziałem.

SLADER.

Sztuka panie tego porządnie egzekwowana...

GOMÓŁKOWIC.

Nie można rzec inaczej.

SLADER.

A no prawda.

ROCIŃSKI.

Porządnie...

LASOTA.

Ale mości panowie... co rzec miałem?... aha! rzemiosło upada! Jeno rzeźniki majątki robią...

SLADER.

Rzetelna prawda!

LASOTA.

I bronią kijakom przynosić tańsze mięso do miasta...

SLADER.

Święta prawda!

GOMÓŁKOWIC.

Inne rzemiosła upadają!

LASOTA.

I co to rzec miałem?... aha! ociec gospodni dał taką lurę na ostatniej juzynie... że człekowi język drętwiał.

SLADER.

Co to, to nie. Piwo było prawdziwe Świdnickie...

LASOTA.

Co waść mówi? Świdnickie? A ja mówię, że lura!

GOMÓŁKOWIC.

Nie była lura!

LASOTA.

Była lura!

SLADER.

Rzetelne było piwo!

SZYMON.

Pokój panowie! *(do Piotra)* Panowie mistrze wyzwalają więc was panie Piotrze, lerbryf spisze się w tygodniu, a teraz wysłuchaj, jako nasz przywilej o towarzyszach stanowi. *(do Dymka)* Przeczytajno mu wasze!

DYMEK *(czyta)*.

„Żaden towarzysz nie ma niezwyczajnie od roboty wstać przed czasem, póki zegar nie wybija, pod straceniem tydziennego myta.

Item: kiedy towarzysz wstanie od mistrza bez obyczaja, taki ma być karan ćwiercią kamienia wosku.

Item: jeśliby który towarzysz potajemnie gdzie robił robotę, tedy z pomocą urzędu mają wziąć takowego z robotą i naczyniem jego.

Item: żaden towarzysz stoliarski nie ma u snycerzów abo u malarzów robić.

Item: towarzysz, który robi u mistrzów nieprawnych, to jest partaców, ten karan ma być kamieniem wosku.

Na pogrzeb mistrza abo towarzysza powinni towarzysze iść i ciało do grobu nieść. Poniedziałków święcić towarzysz żaden niechaj się nie waży".

SZYMON.

Co sobie do serca weź, a panom za wyzwoliny podziękuj!

PIOTR *(kłaniając się).*

Dziękuję waszym miłościom!

SZYMON.

Teraz możesz pójść do towarzyszów i zaprosić ich na wieczór do gospody... jejmość przyszle ci tam coś na poczęstunek!

PIOTR
(kłania się i bierze go za kolana).

Dziękuję waszej miłości!

(Odchodzi na prawo).

LASOTA.

Coś jeszcze rzec miałem... aha! cieśle panie robią ławki a ramy do okien u pana Jędrzejowica, a to jest przeciw przywilejowi.

GOMÓŁKOWIC.

Przeciw przywilejowi! to stoliarska robota...

SLADER.

A nieboszczykowi panu Cieniowi robił trumnę stalmach z Klieparza — a to także stoliarska robota.

GOMÓŁKOWIC.

Trzeba wnieść żałobę o to do urzędu, bo to stoliarska robota. Cieśle partaczą, stalmachy partaczą, a my im nie robimy emulacyej. Czy który stoliarz robił wiązanie abo koło?

SLADER.

Rzetelna prawda! U pani Krupczyny także cieśla ze Stradomia robił okna.

LASOTA.

Nie u Krupczyny, jeno u Pogwizdowej, bo jest sekundo woto.

SLADER.

A nie prawda, bo to jej szwagrowa wyszła za Pogwizda.

LASOTA.

Co mi waść plecie! Przecie nieboszczyk Krupa był ujkiem mojej żony, to ja wiem, jako familijant.

SLADER.

Co mi tam waści familija, dość, że cieśla robił u Krupczyny.

LASOTA.

A ja mówię, że u Pogwizdowej!

SLADER.

A ja mówię, że u Krupczyny!

LASOTA *(głośno)*.

U Pogwizdowej!

SLADER *(głośno)*.

U Krupczyny!!

SZYMON.

Pokój mości panowie! pokój! Pan Dymek napisze żałobę do urzędu, że stalmachy a cieśle robią stoliarskie roboty...

GŁOSY.

Niech pisze!

SZYMON.

Zapisał pan Dymek wszytko do księgi?

DYMEK.

Czarno na białem.

SZYMON.

Solwujemy sesyją. *(Kładzie do lady księgę wziętą od Dymka, berła i skarbonę).* Dziękuję waszmościom, iżeście mego wyzwoleńca do łona cechu przytulić raczyli!

(Zamyka ladę z Orlikiem).

LASOTA.

Cóżem rzec chciał?... aha! to, pójdźmy na nieszpór!

ORLIK.

Czołem pani cechmistrzowo!

(Mistrzowie żegnają Annę i Zofiję).

LASOTA.

Czołem!

SLADER.

Czołem!

GOMÓŁKOWIC.

Całujemy stopy.

SZYMON

(kłaniając się wyprowadza ich ku drzwiom na lewo, potem zwraca się do Dymka)

A waść pisz rachunki. *(Wychodzi na lewo).*

PIOTR *(wchodzi z prawej strony).*

Pan Dymek zrobi mi ten honor i przyjdzie do gospody na wieczerze?

DYMEK.

Zrobię waści ten honor z ochotą, jeno tu skończę spisywać noty pana cechmistrza.

(Piotr wychodzi na lewo).

ANNA.

My z Zochną zajmiemy się nieco kuchnią, a pan Dymek będzie tu uważać na dziadzia? Jakby dziadzio co chciał, to pan Dymek nas zawoła?

DYMEK.

Będę inwigilować, jak rodzony prawnuk. *(Anna i Zofija wychodzą na prawo; sam, pisząc)* Wierutnie nie chce mi się dzisiaj pisać, tak mię już ciągnie do gospody. Stary przyśle pewnie lepszego miodu, bo to jego wyzwoleniec... Muszę się pospieszyć ze skrypturą. *(Pisze)* Nota dla imci pana Jana Królika... dwie futrynie złotych cztery — dwanaście tarcic do podłogi po groszy trzy, razem trzydzieści sześć. *(Przegląda księgę)* Nota... przekreślona... Co to za papier wyziera z za grzbietu? jakiś stary papier... pewnie dawna nota *(wyciąga złożony papier z za grzbietu księgi, rozkłada i czyta)*

Testamentum! A to co?... czyje?... *(czyta)* starego Pawła! *(patrzy na dziadzia)* Co też stary popisał: *(czyta)* „Gdy godzina śmierci nie pewna, ale śmierć każdemu pewna, zwłaszcza w czasie teraźniejszej oppressyej szwedzkiej, polecając ducha mego miłosierdziu Bożemu, a ciało wnętrznościom ziemi ku ućciwemu schronieniu w grobie rodziców moich, majątkiem moim rozporządzam, zlecając go synowi memu Szymonowi w całości nic nie ekscypując, z którego ma wypłacić śpitalom złotych tysiąc, na msze święte złotych dwieście, na epitafium złotych pięćdziesiąt, ubóstwu złotych czterysta i łaźnię ubogim po pogrzebie stom. A dla pamięci dodaję, iż dziesięć tysięcy złotych zamurowałem w piwnicy pod izbą od ulicy w ścianie lewego rogu przy ziemi sześciu cegłami, między któremi kamień biały dla poznaki, aby uchronić ten majątek od rabunku Szwedów i dla wszelkiego bezpieczeństwa. Datum w Krakowie piętnastego Oktobra roku 1655-go Paweł Drużyński m. p.".

O święty Gallusie! To ci kupa pieniędzy! w piwnicy... pod izbą od ulicy... pod tą izbą... Ale stary żyje! może wydobył?... ale stary od dawna mente captus... skąd się to pismo tu wzięło? hm! stary je widać ukrył i zapomniał... Ale czy Szymon czytał? Jakby czy-

tał, toby pieniadze zabrał, bo nieraz stękał na biedę... Trzebaby zobaczyć w piwnicy... abo spróbuję pomówić ze starym. *(Do Pawła)* Dziadziu?

PAWEŁ.

Hę?

DYMEK.

Czy dziadzio pamięta piwnicę?

PAWEŁ.

Ciepło... ciepło...

DYMEK.

Piwnicę czy dziadzio pamięta? pieniądze w piwnicy?

PAWEŁ.

Pieniądze?... grosz do grosza, to będzie talar.

DYMEK.

Ale czy są pieniądze? w piwnicy?

PAWEŁ.

W piwnicy? zimno... reumatizmus... he! he!

DYMEK.

Ale pieniądze ażali są?

PAWEŁ.

Łacniej wielbłąd przez ucho od igły, he! he! jak bogacz do Królestwa niebieskiego, amen.

DYMEK.

Czy są zamurowane talary w piwnicy? he?

PAWEŁ.

W piwnicy... są... są... rozmaite... kapusta... drzewo... ale zimno... zamurowane? tego... coś pamiętam...

DYMEK.

No, no, dalej dziadziu!

PAWEŁ.

Pod Twoją obronę... polecamy się...

(Mruczy różaniec).

DYMEK.

Nic z niego już nie wyciągnę! Trzeba będzie zrobić inspekcyją okularną piwnicy. Jeżeli pieniądze są, to Szymon nie pożałuje mi paru setek za znalezienie tego papieru!...

(Franek wchodzi z prawej strony w butach, baraniej czapce, kapocie, z koszem, w którym widać flaszki. Dymek chowa testament do kieszeni, siada do stołu i pisze).

FRANEK.

Panie Dymek?

DYMEK.

Jak się masz Franek? A gdzie ty idziesz?

FRANEK.

Stara posyła miód na gospodę na wyzwoliny Pietrka.

DYMEK.

Zostawno jedne flaszkę.

FRANEK.

Ehe! jeszcze co? — policzone!

DYMEK.

No to idź z Bogiem — muszę pisać.

FRANEK.

Panie Dymek? A będzie pan tego roku pokazywać z nami jasełka?

DYMEK.

Apage. Nie mam teraz czasu na dyskurs. *(Pisze).*

FRANEK.

Święta się zbliżają, co roku pokazujemy po kolędach szopę i jasełka, musi pan i tego roku pomódz...

DYMEK.

Vade retro — rzekłem ci, że teraz nie mam czasu!

FRANEK.

E! taki pan dzisiaj markotny! — A szopa trochę popsuta, trzeba będzie po fajerancie ją naprawiać. Najgorzej z figurami: Heroda myszy mi zjadły, musimy zrobić nowego. Wół ma rogi ułamane, a śmierć kosę...

DYMEK.

No, no — pomogę ci.

FRANEK.

Trzeba, żeby pan skoncypował na nowy rok powinszowanie dla starego... wierszem.

DYMEK.

Idź do licha z tym miodem już na gospodę, bo mi ślina do gęby płynie — i nie przeszkadzaj.

(Zlewa z puharków reszty w jeden i pije).

FRANEK.

Wyniesiemy z Wojtkiem jutro szopę z piwnicy...

DYMEK *(zrywa się).*

Z piwnicy?

FRANEK.

No tak. Była na strychu, ale jak nam myszy Heroda zjadły, tak ją znieśliśmy do piwnicy; stoi w pace pod ścianą...

DYMEK.

W piwnicy! Słuchajno Franek, jabym ją chciał obaczyć.

FRANEK.

Dobrze panie, dobrze. — Wyniesiemy ją z Wojtkiem, Maryśka pomoże...

DYMEK.

Nie trzeba — ja pierwej pójdę z tobą do piwnicy obaczyć.

FRANEK.

Pójdzie pan do piwnicy? a dobrze.

DYMEK.

To chodźmy!

FRANEK.

Teraz nie mogę, muszę lecieć na gospodę z miodem — ale jak wrócę —

DYMEK.

Nie — poczekajno — bo ja też muszę na gospodę... i nie wiem jak rychło wrócę?...

FRANEK.

O! jak pan wróci z gospody, to pan nie pójdzie do piwnicy.

DYMEK.

Dlaczego nie?

FRANEK.

Bo pan nie ustoi na nogach! *(śmieje się).*

DYMEK.

Głupiś — ale masz racyą. Rychło wrócisz?

FRANEK.

Migiem.

DYMEK.

To pójdziemy skoro wrócisz. Poczekam na cię w warsztacie? — dobrze?

FRANEK.

A dobrze, dobrze... piwnica nie zamknięta, latarki i kaganki są w warsztacie. Jak pan chce, to pójdziemy.

DYMEK.

No, to dobrze — wracaj niedługo... pójdziemy zobaczyć szopę w piwnicy, a potem do gospody!

(Zbiera papiery i księgę, kładzie je do szafy, chowa pióro do piórnika i kałamarz, a piórnik za pas).

FRANEK.

Okrótnie mi żal Heroda! — trzeba zrobić nowego!

DYMEK *(do Pawła).*

Dobranoc dziadziu! *(do Franka)* Wracaj rychło, czekam na-cię w warsztacie — pójdziemy potem do piwnicy... zobaczyć szopkę...

(Wychodzi z Frankiem na lewo).

Zasłona spada.



OPOWIEŚĆ II.

PIWNICA; w głębi duża paka — dalej na prawo: beczka, drzewo opałowe, rozrzucone połamane krzesła, deski, skrzynie — na lewo: dość wysoko drzwi ostrołukowe, z nich na dół schody drewniane, do podłogi sceny sięgające.

WAŻKA
(schodzi ostrożnie z latarką po schodach).

Nikt mię nie widział... skrzypi... *(zatyka nos)* co za odór nikczemny! i zimno, brr! Pst... coś się rusza? nie — nic — zdawało mi się jeno... To schody skrzypią... Aha! nareszcie ziemia. *(Ogląda się świecąc latarką).* To tu... Schody prosto z sieni, więc po lewicy mam ulicę... tu... zaczem front po lewicy... to będzie tu... a lewy róg będzie tam... pełno jakowychś gratów na ziemi... trzeba iść ostrożnie, aby się nie potłuc, abo nogawic nie potargać... Pst! coś znowu skrzypi! *(Otwierają się drzwi u góry i po schodach schodzi Maryśka z latarką i garnkiem dużym).* Ktoś idzie!... Gdzie tu się schować?

Pod schody najlepiej... to Maryśka... byle nie dojrzała światła! Latarkę płaszczem zakryję.

(Chowa się pod schody).

MARYŚKA

(schodząc po schodach nuci sobie półgłosem).

U mojego pana
chata murowana,
dostatków nie zlicy,
kapusta w piwnicy!

(Idzie do beczki, nabiera z niej kapustę do garnka, nucąc podczas tego).

Kapustecka ślicna
zjadłabych jej faskę,
wolałabych Franka
niźli pana Wazke!

WAŻKA *(do siebie).*

Bodaj cię pokurczyło! Wolałaby Franka! patrzcie ją!... Czy ona pójdzie raz stąd, czy nie?

MARYŚKA

(idąc powoli z powrotem z garnkiem po schodach nuci sobie).

Posła za mąz Baśka
i dostała Jacka,
jo nié mom nikogo
biédno nieboracka!

(wychodzi).

WAŻKA.

Poszła przecie ta głupia śpiewaczka. Kantorem jej być, a nie dziewką służebną! Dobrze że tu jeszcze nie odśpiewuje wszystkich godzinek i litanij! *(Idąc ku rogowi piwnicy po prawej stronie sceny)* Bylem się jeno przekonał, że nie majaczył stary... sześć cegieł i kamień biały w środku... przy ziemi — powinny być w tym rogu... coś się rusza! znowu ktoś idzie!... *(W drzwiach u góry zjawia się Wojtek z latarką i schodzi po schodach).* Bodajcie! to Wojtek... *(Zakrywając latarkę idzie pod schody).* Co oni się tak włóczą po piwnicy? Chwili spokoju nie zostawią poćciwemu człekowi! Długo ten tu znowu będzie siedzieć? Może będzie kolendować abo nieszpory śpiewać?

(Chowa się pod schody).

WOJTEK.

A bodaj wciorności z takim mrozem! ciągle ino ,znoś drzewo, dokładaj do komina, a znowu leź po drzewo! *(Nabiera wiązkę drzewa, wiąże ją sznurem i biorąc na plecy wraca ku schodom, a potem wychodzi, mówiąc po drodze)* Więcej po drzewo nie pójdę.

WAŻKA *(na stronie).*

Masz racyją, nie chodź tu więcej i nie właź mi w drogę!...

WOJTEK.

Niech znowu Franek, abo Maryśka przyniosą i im jest lepiej jak ciepło, niż żeby mieli z zimna kłapać zębami. Powiadom, że więcej im drzewa nie będe nosił! *(wychodzi)* Nie pójdę więcej!

WAŻKA.

Poszedł przecie! *(wychodzi z pod schodów, idzie na prawo)* Przeklęte graty zawadzają... drzewo, *(odrzuca na bok)*, jakaś deska! bodaj cię! stłukłem sobie kolano! *(oświeca latarką róg piwnicy przy ziemi)*. O święty Gaudenty!... prawda!... biały kamień! cegły... jedna — dwie — trzy — cztery — pięć — sześć!... Dalej znać dyferencyją starego muru od cegieł! Nogi się trzęsą podemną!... Skarb! skarb!... jest! nikt mi go nie wziął!... prawdę mówił stary — poćciwy człek — dziesięć tysięcy! Żeby tak był kilof abo siekiera! ale o tem nie myślę... Dziesięć tysięcy! a ja jeden wiem o tem!... sza! nikomu o tem ani słowa — dopiero po ślubie powie się Zofiej i panu teściowi. Ani mu się śniło o tem, jaki posag może dać córce!... Znowu ktoś idzie! Co to za dom niespokojny! Po co tu kto ma chodzić? nie mogą chodzić po ulicy, abo po rynku, abo iść do kościoła modlić się, prosić Pana Boga o miłosierdzie

nad nami grzesznymi, nie tu ciągle ućciwemu człekowi przeszkadzać! *(Chowa się pod schody, zasłaniając latarkę; Franek świeci latarką, za nim Dymek schodzą po schodach na dół).* Franek... Dymek... co oni tu mogą chcieć w piwnicy?

FRANEK *(do Dymka).*

Prosto panie, prosto nosa!

DYMEK *(chwytając się za nos).*

Aj! kiedy właśnie nos chce odlecieć, taki tu odór!

FRANEK.

To tylko kapusta.

DYMEK.

Pewnie, że nie kadzidło!

FRANEK.

Już ziemia.

DYMEK.

Lente, powoli, bo tu nogi można połamać, jeden gradus wysoki, drugi niski, a ciemno jak w duszy najpodlejszego grzesznika! Bodajcie z taką latarnią połamało! Kot lepiej świeci ślepiami! powoli — nie tak daleko odemnie!...

FRANEK.

Toli już pan na ziemi.

DYMEK.

Chwała Bogu!

WAŻKA *(do siebie)*.

Czego ci tu chcą znowu? Co to za dom niespokojny!

FRANEK.

Tu panie na lewo pod ścianą jest paka, a w niej szopa — o tu!

DYMEK.

Poświeć!

(Franek świeci w głąb paki pod ścianą).

WAŻKA.

Ekstraordynaryjny obyczaj w tym domu, żeby raz po raz chodził kto chciał do piwnicy!

DYMEK.

Aha! potargany papier — to się na nowo oblepi... wieże całe...

FRANEK.

A tu w skrzynce persony: żyd, chłopy, ślachcic, baran, kupiec, wół misterny, jeno

rogi ma ułamane, śmierć — ale bez kosy — jeno tego biednego Heroda myszy mi zjadły!

DYMEK.

Aha! są, są. Już ja ci szopę naprawię i pomogę zrobić nowego Heroda. Dajno latarkę *(bierze od Franka latarkę)* i napiszę nowy dyalogus gdzie będzie rozmawiał mądry philosophus i głupi Franek.

FRANEK.

To pewnikiem inny Franek, bo pan nie żaden mądry filozofus, jeno kloryk.

DYMEK.

Wniosek nie logiczny; jak rzeknę, że każda sosna jest drzewo — to nie subsekwuje z tego, żeby każde drzewo było sosną — ale to nie dla ciebie traktatus.

(Ogląda się po piwnicy świecąc latarką).

FRANEK.

Łyktus dyktus benedyktus kaktus! Chodźmy na górę, bo tu zimno!

DYMEK.

Ciekawa piwnica. To od frontu?

FRANEK.

Niby od czego?

DYMEK.

Od ulicy? co?

FRANEK.

A od ulicy.

DYMEK.

Wysoka... ciemna... zimna... długa... i szeroka, longa lataque.

FRANEK.

No chodźmy, bo już mi zimno!

DYMEK.

Możesz iść sam — ja oglądnę nieco piwnicę, bo się uczę teraz struktury...

FRANEK.

Aha! będę chodził po ciemku i wywrócę się na byle czem — daj pan latarkę!

DYMEK *(do siebie).*

Jak się go tu pozbyć, żeby nie zmiarkował, gdzie i czego szukam?... Hm!... spróbuję go wystraszyć! *(głośno)* Słyszałem Franek, że w tej piwnicy straszy?

FRANEK.

Rany boskie, co pan gada!

WAŻKA.

Oj! straszy!

DYMEK.

Mówił mi raz pan cechmistrz, że jak tu zeszedł, zaczęły nietoperze trzepać skrzydłami...

FRANEK.

Byłem tu tyle razy, nieraz za dnia i w nocy, a nic nie trzepało!

DYMEK.

Potem gacki łatały, świstały i koty zaczęły miauczeć: miau!... miau!... miau!...

FRANEK *(zbliżając się do schodów).*

E! nie gadaj już waść, bo mi ciarki po skórze chodzą! Pójdźmy na górę, zawołam Wojtka i Maryśkę, to szopę wyniesiemy!

DYMEK.

Potem zaczęły sowy i puszczyki krążyć, a skrzeczeć: a-u!... a-u!

WAŻKA.

Nogi mi się trzęsą!

FRANEK.

O rety! nie gadaj waść już!

DYMEK.

Potem w kącie... po lewicy w rogu... ot tam! zabłysły ślepie, patrz! — widzisz? ot tam — ślepie bazyliszka! trzeba zobaczyć!

WAŻKA.

Ratuj Matko Boża!

FRANEK.

Jezu Chryste, uciekajmy!

(Wybiega po schodach).

WAŻKA.

Jak tu uciekać? Tam ślepie bazyliszka... puszczyki... Franek narobi rumoru w całym domu... gacki latają... zobaczą mię! — Co tu robić? o rety! o rety! a to kabała!...

DYMEK

(oświeca latarką róg przy ziemi z prawej strony).

Miau!... miau!... zmykaj Franku! tego mi trzeba było! miau!... dobrze, kamień biały...

WAŻKA.

Jak on się tych ślepi bazyliszka nie boi!

DYMEK.

Cegły: raz, dwie, trzy, cztery, pięć, sześć... Miau!

WAŻKA.

Co on tak wyje? Nogi mi dygotają.

DYMEK.

Bene! Testamentum prawdę rzekło. Pieniądze są! Dostanę znaleźne!

WAŻKA.

Co on tam mruczy? Czy on stąd nie pójdzie? Co tu zrobić u licha?

DYMEK.

Wezmę to pod deliberacyją — teraz na górę! Ale Franek zmykał jako zając! ha! ha! — Bo też doskonale imituję animalia: miau! miau! *(Kot w kącie gdzieś miauczy)* Rany boskie! żeby złego ducha nie wywołać! *(żegna się)* W imię Ojca i Syna i Ducha świętego. *(Idąc potyka się i upada, latarka mu gaśnie)* Chryste Panie! Masz teraz, latarka zgasła! Chwała Bogu schody nie daleko, namacam, oj! potknąłem się na czemś. *(Zbacza na lewo)*. Gdzież u licha są te schody? *(Kot miauczy)*.

WAŻKA.

O rety! rety!

DYMEK.

Wszelki duch Pana chwali! coś się ruszyło. Gdzie u licha te schody? *(Wyciągając ręce natrafia na Ważkę).* Rany boskie! Odpuść nam nasze winy! *(cofając się upada); Ważka ze strachu przysiada pod ścianą).* Zmiłuj się nad nami grzesznymi!... ktoś tu jest!

WAŻKA.

O! Jezu Chryste!

DYMEK.

Ad te Domine clamabo!

(Zjawiają się na schodach: Szymon z kropidłem, Franek z drągiem, Wojtek z kijem, Maryśka z miotłą — wszyscy z latarniami i zstępują powoli na dół).

Et lux in tenebris lucet!

WOJTEK.

Ja się boję!

SZYMON.

Nie bać się! kropię święconą wodą! W imię Ojca i Syna!

MARYŚKA.

Ja nie pójdę!

SZYMON.

Zrób znak krzyża swiętego i nie bój się. Jako żywo nie słyszałem, aby tu straszyło! Gdzie on jest? Panie Dymek! Panie Dymek!

DYMEK.

Jestem, jestem — latarka mi zgasła i nie mogłem trafić — ale tu jeszcze ktoś jest, na kogoś żywego wlazłem!

SZYMON.

Co waść bredzi! ktoby ta był w piwnicy!

FRANEK.

Uciekajmy!

MARYŚKA.

Uciekajmy żywo!

SZYMON.

Stójcie! nie uciekajcie!

WAŻKA.

Nie ujdę im... znajdą mię... co tu zrobić?... Udam, że przypadkiem z sieni spadłem po schodach na dół... straciłem potem rozum... coby nie mieli uwierzyć?

DYMEK.

Poświećcie tu bliżej!... potknąłem się i upadłem...

FRANEK.

Duchy go wywróciły!

MARYŚKA.

Uciekajmy!

SZYMON.

A słowo ciałem się stało! *(kropi).*

MARYŚKA.

A kysz! A kysz!

DYMEK.

Tu świećcie, tu! ot! widzicie — to pan Ważka!

WAŻKA.

Oj!... ooj!... *(stęka).*

SZYMON i FRANEK.

Pan Ważka!

WAŻKA

Oj! oj! oj!

SZYMON.

Święty patronie, Szymonie z Lipnicy! pan Ważka! Skąd się tu waść wziąłeś?

WAŻKA.

Oj! oj!... szedłem do dziadzia — coś mię zemdliło w sieni... oparłem się o drzwi od piwnicy... i zleciałem na sam dół — po schodach... uderzyłem się w rozum...

SZYMON.

Franek! Skocz do sąsiedztwa po medyka, niech zara przyjdzie z plastrami i instrumentami, powiedz mu, co się stało.

(Franek idzie po schodach w górę i wychodzi).

WAŻKA.

Trzeba chorobę symulować...

SZYMON.

Uspokój się waszmość — medyk mieszka w sąsiedztwie niedaleko, przyjdzie zaraz z medykamentami... mówiłem nieraz, żeby piwnicę zamykali — gdzież waści co boli?

WAŻKA.

Tu... w krzyżach... w głowie... w nogach... rękach... palcach...

DYMEK.

W kapocie i butach.

WAŻKA.

Zamroczyło mię w sieni — oparłem się o drzwi od piwnicy... trzask! otwarły się — a ja na dół! oj! oj!

SZYMON.

Podnieście go... posadźcie go na tej tam skrzyni... Rany nie widać żadnej... To waść widać stękał, a Franek myślał, że to duchy! ha! ha!

WOJTEK.

Franek mówił, że pan Dymek widział ślepie bazyliszka — i puszczyki — i gacka...

DYMEK.

To tak... modo iocoso...

SZYMON.

Ot, głupstwa gadacie i dom niepokoicie! Jakże waści panie Ważka?

WAŻKA.

Słabo, słabo... *(do siebie)* Trzeba chorować, żeby mię zanadto nie inkwirowali — latarka szczęściem zgasła i nie zauważyli jej.

(Sadzają Ważkę na skrzyni w środku sceny; po schodach schodzi Franek, w lewej ręce torba i miednica mosiężna okrągła, pod pachą lewatywa, w prawej latarka — za nim Medyk, czarny kontusz, z pod którego na piersi wygląda czerwony żupan, mankiety szerokie białe odłożone na rękaw, czarne rękawiczki, czapka czarna, duże okulary w grubej czarnej oprawie).

FRANEK
(świecąc po schodach Medykowi).

Tędy panie... prosto na łeb.

MEDYK.

Festina lente!...

SZYMON.

Medyk już idzie.

MEDYK
(przytyka nagle palce do dziurek nosa).

Foetor pestilens!

FRANEK.

To z kapusty, panie!

MEDYK.

Suponuję, że nie z trybularza!

FRANEK.

Już zara ziemia — prosto panie... walecznie i śmiało!

MEDYK.

Niegodziwe schody, takowej praxis jeszcze nie egzekwowałem — w piwnicy! Poświećno iuvenis!

FRANEK.

Franek mi na imię.

SZYMON.

Tu waszmość prosimy.

MEDYK.

Gdzie on jest?... Dajcie go! aha! poświećcie! *(Opiera ręce na ramionach Ważki i patrzy nań, odchylając się od niego, potem ogląda mu nogi, podnosząc je po jednej w górę, następnie ręce).* Partes nobiles nie naruszone... fraktury nie widać... jeno symptomata aby warować od affekcyj gorszych i ocalić spiritus vitalis... *(Do Franka, który bawi się lewatywą, wciągając i wyciągając tłok).*

Ty tam... iuvenis! dajno torbę!

(Franek podaje, Medyk dobywa z niej flaszkę).

FRANEK.

Co on mię jakimś juwenisem nazywa, kiedy ja się Franek nazywam?

SZYMON.

Proszę waszmości, ran nie ma, tylko mówi, że go wszędzie boli i stęka.

MEDYK.

Wapory uderzyły mu na rozum, znam to, znam! *(przytyka Ważce flaszkę do ust)* Napij się waść dobrze... więcej... więcej... jeszcze...

WAŻKA.

Tfu! pfe! fuj! co to jest?

MEDYK *(zdejmując rękawiczki)*.

Oleum purgativum — pryncypalne medicamentum we wszelakich chorobach.

WAŻKA.

Oj! oj!

MEDYK.

Teraz odwińcie mu rękaw... ty iuvenis, daj torbę! *(bierze z torby przez Franka podanej nóż)* stań tu z miednicą przy ręce...

FRANEK.

Co on mię tym juwenisem ciągle nazywa?

WAŻKA.

Co waść chce robić?

MEDYK.

Ante omnia krwie upuścić.

WAŻKA.

Nie chcę — nie chce — nie dam!

MEDYK.

Trzymajcie go!

(Wojtek z Dymkiem trzymają wydzierającego się Ważkę, Szymon z Maryśką przyświecają, Medyk zasłania sobą operacyją).

WAŻKA.

Nie chcę, nie chce, dajcie mi pokój! zdrów jestem, nic mi nie jest! Nie spadłem — zeszedłem — nic mi się nie stało!

MEDYK.

Delirium z niego gada. Trzymajcie tylko!

WAŻKA.

Oj! boli! boli! rany boskie!

MEDYK.

Zaraz się uspokoi.

WAŻKA *(coraz ciszej).*

Oj!... oj... oj...

MEDYK.

Mówiłem, że się uspokoi — o! już spokojniejszy... *(do Franka)* Weź miednicę... zawinę rękę.

WAŻKA.

Oj! oj, oj.

MEDYK.

Już mu lepiej. Podnieście go. Stoi?

DYMEK.

Nie bardzo... chwieje się... coś mu gorzej po tej kuracyej!

MEDYK.

Nic to — kości całe — collapsus membrorum, uderzenie waporów... Jakże teraz waści?

WAŻKA.

Teraz naprawdę mi słabo!

MEDYK.

Delirium go opuszcza — prognosis faustissima.

WAŻKA.

Będziecie mieli krew moją na sumieniu! oj! oj!

MEDYK.

Delirium wraca — casus extraordinarius — przedewszystkiem purgantia i vomitoria... Zaprowadzicie go do domu, zapiszę mu medicamenta, a za miesiąc będzie zdrów, jak ryba... Hm! Pulveris purgantis viginti drachmas...

salis praeparati unam drachmam... Częsty to casus. Onegdaj spadł jeden murarz z dachu i nic mu się nie stało, tylko wapory uderzyły mu na rozum i odjęły mu mowę... Także mu krwie upuściłem...

DYMEK.

I umarł — słyszałem.

MEDYK.

Konstellacyja gwiazd była nieprzyjazna!

WAŻKA.

Oj! oj!

SZYMON.

Da Bóg, że dziś dobra ta konstellacyja?

MEDYK.

Lepsza, lepsza — słońce wschodzi w znaku koziorożca... Będzie żył. Już wiem całą receptę — napiszę w izbie... vomitoria potem — najprzód purgantia — do tego wywar z wilczej wątroby i trzy skrupuły excrementi canis saluberrime praeparati z proszkiem z perłowej macicy... Wyprowadzcie go!

(Szymon z Wojtkiem podtrzymują chwiejącego się Ważkę, naprzód ku schodom poświecają Maryśka i Franek, przed Ważką Medyk, w końcu Dymek).

Chodźmy do izby — zapiszę wszytko, co potrzeba z apteki.

SZYMON.

Ostrożnie z nim po schodach!

(Szymon z Frankiem i Wojtkiem prowadzą Ważkę).

WAŻKA *(stęka).*

Oj, oj, daliście mi, dali!

SZYMON.

Powoli. Bądź waść dobrej myśli — medyk czuwa nad waścią.

MEDYK.

Nie zawadzi dryakiew, theriacus i destillatum z drzewa szubienicy... dwie uncyje...

DYMEK.

Może jeszcze co znajdzie się w aptece?

MEDYK

(staje w połowie wysokości schodów i przykłada palec do czoła).

Mówi waść, że jeszcze co?... hm! Dodamy proszku z zęba hipopotama — tak — zresztą wezmę to jeszcze pod deliberacyją — może co jeszcze dodam.

(Wstępują po schodach).

Wieczór już — trzeba iść do gospody na wyzwoliny Pietrka... Jezyk mię świerzbi, żeby rzec Szymonowi o tym testamencie i skarbie... powinien dać dobre znaleźne... szczęśliwy casus! Możeby iść zara do cechmistrza i rzec?... Ale tam w gospodzie czekają... No, no, skarb nie ucieknie, a miód wypiliby tymczasem — pogadam jutro z Drużyńskim, a teraz jazda do gospody!... Ale mię język świerzbi!... Doprawdy, tak mię język świerzbi, wiedzieć o skarbie takim, a trzymać język za zębami! Ale sza — teraz nie pora — pora, ale do gospody!

(Wychodzi po schodach).

Zasłona spada.



OPOWIEŚĆ III.

IZBA GOSPODNIA, sklepiona, u sufitu olejny kaganek, na prawo szynkwas, obok beczka piwa, stołki, koło szynkwasu czarna tablica z kołkami i kreskami kredą na niej porobionemi, w głębi drzwi, nad niemi godła stoliarskie: tarcza z koroną, w tarczy na dole hebel, nad nim winkelmas i cyrkiel, po bokach drzwi, okna w drobne szybki, na lewo szafa, dokoła półki z talerzami cynowymi, kubkami, dzbanami i szklankami, stoły na krzyżowych nogach, ławy, parę stołków, środek sceny wolny.

OCIEC GOSPODNI drzemie z głową opartą na ręku. MATKA GOSPODNIA wyciera kubki.

MATKA.

Ociec! ociec!

OCIEC.

Hm! a co tam?

MATKA.

Wieczór się robi — a do roboty!

OCIEC.

Chwała Bogu! *(przeciąga się)* Dziwny to żywot, robić noc ze dnia, a dzień z nocy. Za dnia nikt nie zaglądnie, dopiero po zachodzie słońca zaczyna się żywot.

MATKA.

Nie może być inaczej w gospodzie. Czeladź pracuje za dnia, więc dopiero po fajerancie może przyjść do gospody.

OCIEC.

Juści wiem, inaczej być nie może. *(ziewa)* o! o! Nieszpór się skończył, powinien kto przyjść się pokrzepić. Nie było nikogo?

MATKA.

Nie. Wędrowny, ten co był trzy dni, nie znalazł roboty i poszedł ku Warszawie.

OCIEC.

Zapłacił?

MATKA.

I!... jeszczem mu dała dwa grosze na drogę...

OCIEC.

Ej! matka, nie pilnujesz kieszeni! Przecie nie był biedak... porządnie wyglądał, torbę miał dostatnią i nogawice skórzane...

MATKA.

Zrobił krzyżyk na kwitku, to zapłacą za niego towarzysze ze skrzynki połowę... a połowę opuściłam, bo ma daleką droge i zdaleka przyszedł.

OCIEC.

Prawda, z Wrocławia. Był tam mój dziadek, opowiadał, że to zacne miasto *(sprząta)*. Co to za wyzwoliny dzisia?

MATKA.

Od pana Drużyńskiego — przysłał kosz flaszek z miodem...

OCIEC.

Aha!... wiem, ten — Pietrek — przynosił nieraz dzbanki; no to dobrze, że od Drużyńskiego, będzie szynk większy... Porządny mistrz. *(Dobywa z szafy skrzynkę i stawia ją na stole. — Wchodzi Jan z dużym pakunkiem płachtą okrytym).*

JAN.

Pomagaj Bóg!

OCIEC.

Na wieki! Co to waść niesie?

JAN.

Instrumenta chrzestne.

OCIEC.

Oho! To waść będzie ojcem chrzestnym Pietrka przy wyzwolinach? Widzę, że będzie wesoło!

JAN.

Musiałem mu stanąć za kuma, bo z naszego warsztatu i w dodatku z mojej ojczyzny pochodzi, z Lublina.

MATKA.

Tylko też nie dręczcie chłopaka! Czasem to tak wydziwiają przy wyzwolinach, że aż mi ciarki po skórze chodzą.

JAN.

Każdy towarzysz przejść musi otrząsiny, jak chrzest święty; a mnie to mało kołków na głowie naciosali przy wyzwolinach?

MATKA.

Pogańskie chowacie obyczaje; pośmiać się nie wadzi, ale nie dokuczać.

JAN.

Co za dokuczanie? Ot, zabawa!

MATKA.

Na cudzej skórze.

JAN.

Raz w życiu.

MATKA.

Ale dobrże — zanadto dobrze!

JAN.

No, no, matka gospodnia, nie zmienicie obyczaju. Musi tak być, aby nauczyć młodego cierpliwości, a posłuszeństwa starszym — dla przytarcia zarozumiałości. Tymczasem dajcie kubek, matko. Na frasunek, dobry trunek!

MATKA.

O, masz waść zmartwienie?

JAN.

I nie byle jakie. Kto go nie ma?

MATKA.

Cóż takiego?

JAN.

At! *(siada na lewo przy stole i podpiera głowę na ręku, przed nim kubek).* Schowajcieta, ojcze gospodni, instrumenta za szynkwas, podacie je towarzyszom, jak dam znak.

OCIEC.

Dobrze, dobrze. Myślałem, że waść jako ociec chrzestny będzie wesołym, a tymczasem mówicie o frasunku.

JAN.

Nic to. Właśnie tem więcej będę dokazywać, żeby zapomnieć o zgryzocie. Raz kozie śmierć!

DYMEK *(wchodzi).*

Laudetur! Jak się macie ociec, matka?

OCIEC.

Chwała Bogu, że i waszmość będzie na wyzwolinach — będzie jeszcze weselej!

DYMEK.

Naturalne że będę. Bez mojej prezencyej wyzwoliny się nie odbędą. A któżby zapisał w księgę towarzysza? A kto będzie szenkbryf czytać? he? Dajcieno ociec kubek na moją notę. Dużo tam?

OCIEC
(pokazuje czarną tablicę zapisaną kredą).

To kółko to waszmość oznacza — a pod niem dwa złote i trzy grosze.

DYMEK.

No, to nie wiele — spłaci się niedługo.

OCIEC.

Przecież nie monituje! *(podaje mu kubek).*

DYMEK *(do Jana).*

A pan Jan co taki zamedytowany?

JAN *(macha ręką).*

DYMEK.

Co takiego?

JAN.

Pójdę znowu na wędrówkę!

DYMEK.

Co waść mówi? opuszczasz Drużyńskiego?

JAN.

Wypowiedział mi — co mam robić?

DYMEK.

Wypowiedział? na zimę? skąd?

JAN.

Skąd? hm! Nie kontent ze mnie.

DYMEK.

Nie kontent? Domyslam ja się coś...

JAN.

Domyślaj się waść i daj mi z pytaniami spokój!

DYMEK.

Hm! strasznie gorąco waść rzeczy akceptuje, a jak pójdziesz na wędrówkę, to zrobisz waść najmniej mądrze!

JAN.

A to czemu?

DYMEK.

Bo jak waść pójdzie — to się wszystko skończy, a jakbyś został, to mogłyby się sprawy kiedy jeszcze meliorować...

JAN *(zamyślony nie odpowiada)*.

DYMEK.

Wiesz co, wasze?... żebym był pewny o co ci idzie, to możebym i poradził co. Dwie głowie więcej wymyślą, jak jedna. Ale powiedz waść dokumentnie jak było... co ci tak cięży na sercu?

JAN.

Co mi ciężży, niech cięży!... Co tam będę rozpowiadał!

DYMEK.

To przeciwnie, jak mnie. Bo mnie znowu co innego cięży; coś wiem — coś wiem! ale to coś! coś! hm! — To mię aż rozpiera tak, żebym wybiegł na rynek i krzyczał...

(Zatyka sobie usta ręką).

OCIEC.

Cobyś waść krzyczał? dlaczego?

DYMEK.

Nie — teraz nic — sza! — ale mię dusi, dławi, powiedzieć? nie powiedzieć?

JAN.

Co u licha?

DYMEK.

A widzisz — ciekawyś. A sam nie chcesz gadać!

JAN.

To co innego.

DYMEK.

Racyja — i moje z innego fakultetu. Słyszeliście wy gadkę o królu Midasie i o balwierzu?

JAN.

Słyszałem o królu Piaście... Salomonie... Jagielle — ale o takim królu nie słyszałem.

DYMEK.

To nie nasz... to był król Greczynów... Słuchajcie i wy też, ojcze gospodni i matko. *(Słuchają).* Był król Midas, któremu wyrosły uszy — ale to ośle uszy! Wstydał się ich okrutnie i przykrywał je koroną, ale przed golibrodą ukryć ich nie mógł. Żeby ten więc nie rozgadał, kazał mu milczeć pod gardłem. Balwierz milczał, bo każdemu żywot miły, nawet marnemu golimordzie, ale go rozpierało, że nie może komu powiedzieć — jak mnie teraz rozpiera — aż wkońcu nie mógł wytrzymać, tak i wykopał dołek w ziemi i szepnął do niego: król Midas ma ośle uszy! i zasypał dołek ziemią — a jemu się ulżyło, że zbył tajemnicy.

JAN.

A skądże waść o tem się dowiedział, kiedy balwierz nikomu nie zdradził?

DYMEK.

A bo widzisz waść, w tym dołku urosła trzcina i co ją wiatr poruszył, to ona szemrała: król Midas ma ośle uszy! król Midas ma ośle uszy! — i tak się secretum wydało! Ale nie o to idzie, jeno o to, że zwierzyć się, to znaczy zrobić sobie ulgę.

JAN.

No, więc gadaj, co cię rozpiera?

DYMEK.

Hm! hm! poczekaj... zresztą nie wiem, azali się dobrze domyślam...: *(bierze na bok Jana)* Rzeknij, czyli dobrze suponuję, że idzie o córkę Drużyńskiego?

JAN.

A gdyby i tak było, mógłżebyś waść co pomódz?

DYMEK.

Kto wie... poczekaj, niech podeliberuję... *(do siebie)* Gdy powiem Drużyńskiemu o skarbie — to mógłby nosa jeszcze bardziej zadrzeć do góry i jeszcze pewniej nie dać mu córki... ale gdyby mu postawić kondycyją, że jak da mu córkę, to mu skarb wskażę — dałby mu

i dwie córki, gdyby miał... Ale co ja miałbym z tego? Hm! wprawdzie, czy jeden, czy drugi, nagrodziliby mię sowicie w każdym razie... Jak to zrobić? Hm!... To trzeba wziąć pod gruntowną deliberacyją!

JAN.

Jakoż? co waść w takiej medytacyej?

DYMEK *(do Jana).*

Więc stary odprawił wasze wyraźnie?

JAN *(poufnie do Dymka).*

Powiedział, że ma już zamiary, że obmyślił los córki, że spostrzegł mój afekt i że z tego nic nie będzie...

DYMEK.

No, a córka cóż na to?

JAN.

Nie mówiłem z nią jeszcze potem.

DYMEK.

Ale przedtem?

JAN.

A, przedtem!

DYMEK.

No, tak, przedtem, czy cię chciała?

JAN.

Przyrzekła, że za kogo innego nie pójdzie.

DYMEK.

To bene! Obmyślił los córki... ma inne zamiary... Nie podejrzywasz waść, kogo on ma na myśli?

JAN.

Myślę, że Ważkę. Kupiec bogaty a chciwy i skąpy... Często przychodzi, umizga się do starego i pielęgnuję dziadka, żeby sobie fawor familiej zjednać... Ładny los Zofiej!... kutwa!... A ja też nie ostatni... ociec ma kamienicę w Lublinie i warsztat, stryk jest aptekarzem, a siostra za kupcem.

DYMEK.

Nie wiedziałem, żeś waść taki familijant, nie gorszy od Drużyńskiego!

(Ociec gospodni zapala od świecy kaganki i świece i rozstawia po stołach).

JAN.

Mówże więc waść, zrobiłeś mi nadzieję, że pomożesz mi w mojej mizeryej...

DYMEK.

Miej waść nadzieję, mam coś w ręku, coby może było adjuwamentem, ale to trzeba przedeliberować... Myślę, że da się zrobić... tymczasem wybij sobie z głowy wędrówkę i zostań tutaj. Musimy zrobić tak: *(wrzask za sceną)*. Oho! Idą z wyzwoleńcem, nie czas teraz na consilium, pomówimy o tem — nie trać waść humoru — będzie wszystko dobrze!

JAN.

Kiedy tak waść mówi, to nie pójdę na wędrówkę... znajdę robotę w innym warsztacie, poczekam... a tymczasem pocieszmy się z towarzyszami.

DYMEK.

Napijemy się, pocieszymy się!

(W drzwiach pojawia się Piotr, przed nim i za nim towarzysze — jedni ciągną go do izby, zaś drudzy przytrzymują).

JAN.

Wyzwoleniec naprzód!

GŁOSY.

Prosimy, panie Pietrze!

JAN.

Czemu waść nie wchodzi?

PIOTR.

Bo mię trzymają!

JAN.

Kto waści trzyma? To chcesz towarzyszem być, a chodzić jeszcze nie umiesz?

DYMEK *(do ojca gospodniego).*

Dajcieno kubek na rachunek tego tam! *(pokazuje na Piotra).*

OCIEC.

Oczywista! *(podaje).*

GŁOSY.

Nie umie chodzić!

GŁOS.

Niech włazi na raczkach!

JAN.

Pomóżcie mu przecież!

(Wypychają Piotra, który wylatuje nagle naprzód popchnięty).

Toć zaczyna już skakać! Dziób jeszcze żółty, gęba nie ogolona, łeb jak u białogłowy!

(Okręcają go, oglądają, szczypią, badają włosy; Starszy czeladników siada na lewo za stołem, Podstarszy czeladników przysuwa mu skrzynkę, otwierają ją, dobywają książkę i papiery, które odbiera Dymek, siadając na rogu stoła od strony widzów).

STARSZY.

Ojcze gospodni, stań u drzwi, patrz gości niepotrzebnych, którzyby nie należeli do rzemiosła naszego, a potem zasiądź na swoje miejsce i pani matce zaleć służby od towarzyszów. *(Do wszystkich)* Siadaj każdy na swoje miejsce, aby nie posiadał żaden młodszy starszego. *(Do Piotra)* Czego on tu chce?

JAN.

Mości towarzysze! Prosiło mię to niemowlę na ojca chrzestnego przy wyzwolinach.

STARSZY.

Chłopak zupełnie nieoheblowany!

PODSTARSZY.

Drągal nieociosany!

CZELADNIK I.

Nieópiłowany!

CZELADNIK II.

Nieutoczony!

CZELADNIK I.

Nieogolony!

CZELADNIK II.

Nieuczesany!

(Piotr poprawia włosy ręką).

JAN.

Mości towarzysze! Toć z cielęcia wół wyrasta, a koń ze źrebięcia, to i może z tego niemowlęcia człek urośnie, za łaską i pomocą towarzyszów. Jako jego ociec chrzestny czynię za nim instancyją, abyście go nie wyrzucili za próg, jeno abyście go otoczyli pielęgnacyją: umyjmy go, ogólmy, uczesajmy, oheblujmy, opiłujmy — zróbmy z tego kloca towarzysza kształtnego i zacnego.

STARSZY.

Jakżeż mości towarzysze?

PODSTARSZY.

Na instancyją ojca chrzestnego, a naszego towarzysza, trzeba tego drągala opoliturować jakoś, to zobaczymy, ażali się zda na towarzysza.

CZEŁADNIK I.

Golić go! czesać!

CZEŁADNIK II.

Ociosać, oheblować!

GŁOSY.

Opiłować go!

STARSZY *(do Dymka)*.

Rzęknij waść do niego jakowe mądre słowo.

DYMEK
(pompatycznie do Piotra).

Wiedz młodzieńcze, jako już starożytni filozofowie nikogo do szkoły nie przyjmowali, póki jego umysłu a obyczajów i skłonności przez naukę nie eksperymentowali... Takci i to zacne koło towarzyskie nie może lada kogo co przyjdzie i powie: ja chcę być towarzyszem! akceptować, jeno musi go godnym doświadczyć, zaczem musisz się wedle obyczaju godnym demonstrować, a tego imci towarzysze teraz nie uznają, iże cię nieogolonym widzą...

PIOTR.

Golił mię dziś balwierz!

DYMEK.

Znajdzie się tu lepszy balwierz, co go poprawi — widzą cię nieuczesanym i nieoheblowanym — zaczem proś ojca chrzestnego, aby cię godnym i zacnym uczynił.

PIOTR.

Proszę, panie Janie, uczyńcie mię godnym i wnieście za mną instancyją.

JAN.

Mości towarzysze! Dobre to niemowlę — znam je — poćciwe, pieluchy czysto utrzymuje, jak śpi, to nie je, a jak je, to nie gada, kiedy milczy, to jest cicho, a jak gada, to nic mądrego!... Trochę to nieogolone i nieoheblowane — ale ja go wnet godnym uczynię!... Najprzód go ogolimy. Dajcie zydel! *(do ojca gospodniego)* Dajcie instrumenta!

(Ten podaje, inni podają stołek i na środku sceny sadzają na nim Piotra).

Dajcie zacny ręcznik!

(Podają ścierkę, którą Piotrowi pod brodę zapina).

I pędzel!

(Podają mu pędzel murarski, którym smaruje brodę Piotra. — Śmiechy).

PIOTR.

Oj!

JAN.

Dajcie teraz brzytwę!

(Podają mu brzytwę drewnianą na łokieć długą, trzyma Piotra za nos i udaje że go goli).

PIOTR.

Oj! oj!

JAN.

Teraz go uczeszemy. Dajcie grzebień!

(Podają mu grzebień ogromny z deski, Jan czesze nim Piotra).

PIOTR.

Aj! nie tak mocno! *(śmiechy).*

JAN.

Umyty, ogolony, uczesany — a teraz go ociosamy... Dajcieno kobierzec i ławę!

(Podają derkę, biorą zydel i stawiają ławę).

Połóż się ładnie na ławie mój chrzestniku!

PIOTR.

Ale... panie Janie! zmiłujcie się!

(Kładą go na ławie i przykrywają derką).

JAN.

Dajcie hebel!

(Podają ogromy hebel, Jan udaje że hebluje kloc).

PIOTR *(z pod derki).*

Rany boskie!...

JAN.

Teraz go opiłujemy!

(Podają piłę z deski z dużymi zębami, Jan bierze za jeden koniec piły, Czeladnik I. za drugi koniec i udają, że piłują po klocu).

PIOTR *(skacząc pod derką).*

Oj! oj! na Boga dajcie już pokój!

JAN.

No, no — już tylko politura nastąpi!

(Nacierają Piotra derką).

PIOTR.

Bo mi kości połamiecie!

JAN.

Myślicie, że już z niego godny towarzysz?

MATKA.

Godny! godny! — puśćcież już chłopaka! Napijcie się lepiej!

DYMEK.

Słusznie mówi matka gospodnia, czas się już napić.

(Puszczają Piotra, ten porządkuje ubranie i włosy, Ociec gospodni upuszcza z beczki piwo do wielkiego dzbana i stawia go na stole przed Starszym czeladników, Matka gospodnia robi kreskę na tablicy).

JAN.

Zrobiliśmy z ciebie człeka na obraz i podobieństwo Boże. Podziękuj teraz za oheblowanie.

PIOTR *(niechętny i chmurny).*

Dziękuję...

JAN.

Mówisz: dziękuję! tak, jakbyś mówił: bodaj was powietrze raziło! Podziękuj wdzięcznie!

PIOTR *(kłaniając się).*

Dziękuję waszmościom!

STARSZY.

I przyrzekasz być dobrym towarzyszem?

PIOTR.

Przyrzekam!

JAN.

Zatem proszę o przyjęcie mego chrześniaka do koła towarzyskiego!

STARSZY.

Ażali go przyjmujecie?

GŁOSY.

Przyjmujemy!

STARSZY.

Przyjmujemy! — Daj towarzyszu wpisowe! *(Piotr daje pieniądz do skarbony).* Zapisz pan, panie Dymek, do rejestru... Piotr Lubliński od pana Drużyńskiego. — A jaki mu damy przemianek?

CZELADNIK I.

Głupiński! Lubliński Głupiński, to zacnie wygląda.

CZELADNIK II.

Abo Rozczochrany! Patrzcie na jego łeb!

JAN.

Jako ociec chrzestny, to ja mu przemianek nadaję...

STARSZY.

Jaki?

JAN.

Niech się zwie: Nadzieja.

STARSZY.

Nadzieja? hm! — jak ociec chrzestny tak chce — niech będzie Nadzieja. Zapisz waść, panie Dymek. A teraz wypij z nami z wilkoma *(napełnia wielki puhar)* panie Piotrze Nadziejo! *(pije do niego).*

PIOTR.

W ręce waszmościów! *(pije i podaje puhar dalej)* Za zdrowie waszmościów!

(Ociec gospodni nalewa kubki).

STARSZY *(do Dymka).*

A tera niech wasze odczyta mu szenkbryf nasz!

DYMEK *(czyta).*

Racz wiedzieć towarzyszu miły:

„Jest dawny obyczaj rzemiosła, aby towarzysze w gospodzie na każde cztery niedziele szynk odprawowali przystojny a ućciwy.

Żaden nie ma przy ućciwym szynku piwa więcej do siebie brać, niźli wstrzymać może, a żaden nie może piwa więcej rozlać, niż na stole ręką, a pod stołem nogą przykryć może.

Item: gdyby się z towarzyszów który tak bardzo ożłopał, żeby mu womit stąd przyszedł, taki za winę jeden funt wosku odłożyć ma.

Item: nie zaprzysięgać się ani kląć, imię Pańskie nadaremno brać, gry żadnej nie grać, rękoma zuchwale na stół nie bić, swaru nie zaczynać. Szynkowny towarzysz nie ma bez licencyej od stołu wstać.

Item: mają towarzysze po szynku w tydzień na gospodzie sprawę mieć, a tam przestępki, któreby się przy szynku pokazały, karać.

Gdzieindziej, oprócz gospody, nie mają towarzysze nikomu szynkować, ani obyczajów żadnych obcym pokazować.

Mają towarzysze pana Ojca gospodniego i Matkę gospodnią ćcić i ważyć jako przystoi, a być posłuszni starszym towarzyszom i płacić do skrzynki na załomsze i zaopatrzenie biednych a chorych towarzyszów".

(Podczas czytania słucha tylko Piotr, inni przypijają do siebie, Ociec gospodni nalewa piwo z beczki do dzbana i roznosi, Matka gospodnia robi kreski na tablicy).

JAN *(do Dymka).*

No, panie Dymek, wymyśliłeś co? Miałeś mówić, jak zrobimy?

DYMEK.

Nie mam teraz głowy po temu, bo ten gwar szatkuje rozum, jak kapustę.

STARSZY

(chowa do skrzynki książkę, papiery, skarbonę i szenkbryf).

Zamykamy skrzynkę i robimy wyszynk.

CZELADNIK I.

Zdrowie wasze, panie Piotrze Nadziejo!

GŁOSY.

Wiwat!

CZELADNIK II.

A ze mną się waść nie trącił!

(Piotr trąca się z nim kuflem, potem z innymi, gwar).

JAN.

Mój mości Dymku! Rzeknij krótko, ale nie zostawiaj mię w niepewności!

DYMEK.

Słuchajże waść. Tylko język za zębami!

JAN.

Słowa nie pisnę!

DYMEK.

Verbum? słowo?

JAN.

Słowo.

CZELADNIK II.

Wiwat wyzwoleniec!

GŁOSY.

Wiwat! *(trącają się przy stołach).*

DYMEK.

Otóż widzisz, dowiedziałem się, mniejsza o to jak, że stary Drużyński, dziadzio, zamurował dziesięć tysięcy w murze —

JAN.

Dziesięć tysięcy! rany boskie! Biedna moja dola, to mi nigdy Zochny nie dadzą!

DYMEK.

Ale stary potem stracił rozum i zapomniał, i nikt o tych pieniądzach nie wie, jeno ja jeden.

JAN.

Dziesięć tysięcy!... Ale co mnie z tego?

CZELADNIK I.

Jutro zrobimy sobie blaumontag!

STARSZY.

Nie, nie wolno! blaumontagów zakazuje przywilej!

CZELADNIK I.

Łatwo byle co napisać do przywileja, ale przez to nikt nie wytrzeźwieje!

STARSZY.

Kto poniedziałkuje, traci za to całe myto tydzienne! *(Gwar).*

DYMEK *(do Jana).*

Słuchaj. A coby było, jakbyś jutro już po trzeźwemu poszedł do Drużyńskiego i rzekł: Mości panie! masz zamurowany skarb w twoim domu, a nie wiesz gdzie. Ja wiem, a jak mi dasz Zochnę, to powiem, a jak nie, to możesz mi język uciąć, a ja nie powiem!

JAN.

A ja tego nie rzeknę.

DYMEK.

A to znowu czemu?

JAN.

Bo mi się taki handel nie podoba. I jakbym wiedział, to choćby mi Zochny nie dał, tobym mu powiedział, ot co!

DYMEK.

Wasze ma coś kiepsko w rozumie!

CZELADNIK I.
(przy oknie siedzący).

Cechmistrz idzie do gospody!

JAN.

Drużyński idzie!...

(Drużyński wchodzi w kontuszu, na niem futro, z laską wysoką ze złoconą gałką).

SZYMON.

Pomagaj Bóg waszmościom!

GŁOSY.

Amen. *(całują go w łokieć lub ramię).*

SZYMON.

Przyszedłem do was poweselić się z moim wyzwoleńcem.

STARSZY.

Prosimy! prosimy!

PODSTARSZY.

Zróbcie tu miejsce!

(Szymon siada na lewo naprzeciw Starszego).

SZYMON *(do Ojca gosp.).*

Podajcieno Ojcze gospodni ten kosz, co tu posłałem!

OCIEC.

Tutaj, proszę!

(Wyjmuje butelki z kosza, stawia je po stołach i przed Szymonem).

SZYMON.

Za zdrowie imci pana Piotra!

GŁOSY.

Wiwat! *(trącają się w koło, piją, rozmawiają).*

STARSZY.

Mości towarzysze! za zdrowie jego miłości pana ojca i cechmistrza naszego!

GŁOSY.

Wiwat!

SZYMON.

Dziękuję waszmościom i piję za zdrowie zacnego koła towarzyskiego: Wiwat!

GŁOSY.

Wiwat! *(trącają się, rozmawiają, gwar).*

SZYMON *(do Piotra).*

No, jakże Pietrek — chciałem rzec panie Pietrze — zostałeś przyjęty do towarzyskiego koła?

PIOTR *(kłania się).*

Przyjęty, panie cechmistrzu, ale tak mię oheblowali, że wióry ze mnie leciały!

(Śmiechy).

SZYMON.

Ha! ha! Stary obyczaj, i ja to przechodziłem! Dawne to czasy, ale roku nie przepomnę, bo było to na krótko przed nieszczęśliwą inwazyją Szwedów. Wielu z waszmościów jeszcze nie było wtedy na świecie, inni byli dziatkami dopiero.

STARSZY.

Pamiętam ja trochę, bo jako pacholę patrzałem ze strychu, jak Szwedzi kule ogniste na miasto rzucali!

CZELADNIK I.

Kto nie pamięta, to słyszał od innych. Nie prędko zapomną ludzie tych zdzierstw a łupiestw, wsiów popalonych, mężów zabitych!

SZYMON.

Takci, tak. Ludzie byli w ostatniej desperacyej. Kto co miał, to zakopywał; vota ślubowali, testamenta czynili...

DYMEK.

Testamenta?... Niechże nam wasza miłość opowie o tem. My, chwała Bogu, żyjem w pokoju — to nie potrzebujemy ani testamentu czynić, ani dobytku zakopywać.

CZELADNIK I.

Ho! ho! toćby skryptury waszmości zgniły, jakbyś je zakopał!

DYMEK.

A wasze mógłby swój łeb zakopać, możeby od wilgoci rozum w nim zakiełkował.

(Śmiechy).

CZELADNIK II.

To mu się odciął!

DYMEK *(do Szymona).*

Więc jakoż to było z tem zakopaniem pieniędzy... z testamentem?...

SZYMON.

Widzicie waszmoście, było tak, że nikt nie suponował, aby Rzeczpospolita była w takiem niebezpieczeństwie. Nagle... wyjrzyjcie tam do drzwi, bo ktoś już wtóry raz puka. Może wędrowny, niech wejdzie z Bogiem i posili się z nami —

PIOTR.

Tymczasem niech żyje pan cechmistrz!

WSZYSCY.

Wiwat!

(Trącają się. — Ojciec gospodni idzie do drzwi, otwiera, rozmawia z kimś za progiem i wraca).

SZYMON.

Przyszedł gość jaki?

OCIEC.

Nie, nie, to do mnie, a właściwie to do... pana Dymka...

(Wszyscy rozmawiają między sobą, trącają się kuflami — tymczasem do Dymka biorąc go na bok:)

Nieszczęście, panie Dymek. Pani Drużyńska przysłała Franka, że stary Drużyński, dziadzio, zmarł nagle!

DYMEK.

Zmarł dziadzio! Poczciwy starowina! *(pije)* Requiescat in pace!...

OCIEC.

Pani prosi, żeby waść ostrożnie to zakomunikował panu Szymonowi — kochał go bardzo, choć stary dawno był mente captus i żył za długo!

DYMEK.

Sam nie wiedział, ile miał lat, mówili, że niedaleko setki. *(pije)* Lux perpetua luceat ei! Już ja mu to politycznie powiem. *(idzie ku Szymonowi)* Panie Szymonie... pani przysłała Franka, żeby powiedział Ojcu gospodniemu, żeby Ojciec gospodni mnie powiedział, abym ja powiedział waszmości —

SZYMON.

Cóż tam takiego?...

DYMEK.

Że dziadzio kazał waszmości powiedzieć, żebyście długo w gospodzie nie siedzieli, a do domu wracali, bo jest słaby!

SZYMON.

Kazał powiedzieć dziadzio? Co mówicie? Czyżby wrócił do rozumu?

DYMEK *(kiwa głową)*.

Nawrócił trochę — tak na bok — ale słaby, bardzo słaby.

SZYMON *(wstaje)*.

Idę... idę... żegnam waszmościów i życzę wesołej zabawy... zostałbym chętnie dłużej —

ale doma choroba, wołają mię do sędziwego rodzica...

(Odprowadzają go do drzwi — wychodzi).

JAN *(do Dymka).*

Bardzo chory?

DYMEK.

Fundamentnie. *(bierze Jana na bok, po cichu)* Stary już poszedł ad patres —

JAN.

Umarł?!

DYMEK
(kiwa potakująco głową).

Nie mówię głośno, aby nie psuć ochoty żałobą.

JAN *(cicho).*

Słusznie... słusznie... Panie świeć nad jego duszą... Będą mieli w domu zmartwienie...

(Wchodzi stróż nocny Marcin z latarnią i halabardą).

CZELADNIK I.

Oho! ociec Marcin nie śpi?

STRÓŻ.

Zawrzej waść wrota na kłódkę! — Mości panowie, północ się zbliża!

CZELADNIK II.

Zegar was obudził?

STRÓŻ.

Przewrotne gęby!

STARSZY.

Nie gniewajcie ojca Marcina! Podajcie mu kubek!

STRÓŻ.

Nie chcę. *(dają mu, odpycha, w końcu bierze)* Zresztą — łyk zrobię, ale urząd urzędem...

STARSZY.

Słusznie, słusznie. Zdrowie ojca Marcina!

GŁOSY.

Wiwat! *(trącają się z nim).*

STARSZY.

Odłużcie tę latarkę i tę siekierę, bo wam wadzi!

STRÓŻ.

Nie, nie! *(zabierają mu latarnię i halabardę).*

STARSZY.

Spróbujcie tego miodu — pan Drużyński przysłał! *(nalewa mu)* Prawda, dobry?

STRÓŻ.

Dobry... niezły... ale urząd urzędem — północ się zbliża...

CZELADNIK I.

Siadajcie ojcze!

STRÓŻ.

Nie — nie! *(siada).*

STARSZY.

Spróbójcieno z tego dzbanka! Dobre? co?

STRÓŻ *(cmoka).*

Dobre... niezłe! Ale — urząd urzędem — północ się zbliża!...

CZELADNIK I.

Chwalicie przez grzeczność, boście jeszcze nie spróbowali... pociągnijcieno lepiej z tego dzbanka!...

STRÓŻ *(popiwszy).*

Dobry — rzetelnie mówię, że dobry.

CZELADNIK II.

To wypijcie za zdrowie wyzwoleńca!

STRÓŻ.

Niech żyje!

GŁOSY.

Wiwat!

DYMEK.

A teraz co zaśpiewajmy! *(intonuje)* Funda! funda! funda! Tota risibunda! Hej, kolęda! kolęda! *(Chór powtarza).*

Zasłona spada.



OPOWIEŚĆ IV.

Izba jak w Opowieści I. — tylko na lewo zamiast ławy stołek, a przy nim mały stolik — na środku stół zastawiony w podkowę, tak wgłąb posunięty, aby przed nim można swobodnie po scenie chodzić. Wszyscy występują w czarnych lub bardzo ciemnych ubraniach, zamożniejsi goście z karabelami.

Jan rozmawia z Zofiją.

JAN.

Jutro wypędzają mię z raju... kończy się druga niedziela... i muszę opuścić dom ten w desperacyej, bo nadzieja słaba, żeby pan ociec się zgodził, a i nie czas myśleć o tem teraz, kiedy troska i żałoba we familiej...

ZOFIJA.

Pan ociec jest zmartwiony bardzo — ale i zmieniony... Powiem wam rzecz ważną — że pan ociec gniewa się na pana Ważkę nie

na żarty, brakuje jeno kropli, aby się naczynie przebrało, a Ważka, to główna przeszkoda.

JAN.

Uważałem ci to, że nie patrzy już na mnie tak srogo — jakżeż więc z tym panem Ważką?

ZOFIJA.

Pierwszy dzień, drugi, po śmierci dziadzia pan ociec nic nie gadał, jeno chodził zmartwiony i dysponował pogrzeb panu Dymkowi, wreszcie pyta: „Nie był pan Ważka? nie pisał?... Trzeba posłać po niego!“ A pani matka na ojca: „Sam powinien przyjść, abo napisać kondolencyją! Wiedzieć musi o śmierci dziadzia, bo sąsiad, a jak słaby, to może kazać napisać! Nie będziemy się wpraszać nikomu!“ A ja też rzekłam: „Może myśli, że cechmistrz będzie sobie za wielki honor brać i posyłać po niego!“ A ociec: „Pewnie, toć nie żaden senator, nie będę posyłać!“ — a jak obaczył potem, że Ważki nie było ani na żadnej żałomszy, ani na pogrzebie, tak już o nim ani słowem nie wspomniał.

JAN.

Bógby dał, Bógby dał... ale kto to wie... pewnie chory, przyjdzie znowu — i kto wie, co będzie!...

ZOFIJA.

Już ja myślę, że pan ociec nie będzie na waści zawzięty i nie będzie Ważki popierać...

JAN.

A tymczasem to ja pannę Zofiją chyba tylko w kościele będę mógł obaczyć... ni przemówić słowa...

ZOFIJA.

Nie może być inaczej!... Pani matka wie o wszytkiem i nie jest przeciwną — radzi czekać, aż pan ociec się ułagodzi a uspokoi...

(Franek wchodzi z prawej strony, niosąc na tacy kubki).

JAN *(szybko).*

Będę czekać, a tymczasem modlić się za waćpannę...

ZOFIJA.

Zostań waść z Bogiem! *(do Franka)* Postaw je tu na stole... pan Jan porozstawia... będzie mało... trzeba jeszcze dzbanki i puharki dać... będzie ze dwadzieścia osób...

(Dymek wchodzi z lewej strony).

FRANEK.

Już pani przygotowała w kuchni — zara przyniosę.

(Zofija i Franek wychodzą na prawo — Jan kubki rozstawia).

DYMEK.

Mówiłeś waść co z panną Zofiją?... jakżeż tam?

JAN.

Ha! źle! jutro się kończy druga niedziela i muszę odejść... Panna Zofija powiedziała, że za Ważkę nigdy nie pójdzie, a pani matka wie o wszytkiem i powiada, żeby czekać, to ociec się może ułagodzi i da namówić...

DYMEK *(ogląda stół).*

To jeszcze nie gotowe... każ waść stołki poustawiać, to krzesło tam w środku dla pana rajcy Kortyniego, a koło niego dla plebana i gwardyjana... ja sobie tu na rogu siądę — trzeba tam pod stół wstawić dzban, jak podadzą... na zapas... *(siada na lewo przy stoliku)* słusznie mi się należy, bo mi gardło wyschło śpiewać codzień przez dwanaście dni requiem. Okrutnie jestem fatigatus! *(Franek wnosi puharki i dzbanki, poczem wychodzi)* Nagoniłem się do krawców, kościelnych, grabarzy, kościołów, klasztorów, cechów, bractw, a przy rozdawaniu jałmużny ubóstwu tak mię obsiedli, że mię robactwo obeszło, aż musiałem iść do łaźni!

(Wchodzi z prawej strony Maryśka niosąc półmisek, za nią z drugim półmiskiem Kucharz biało ubrany.

KUCHARZ.

A ostrożnie tam nieś, żeby się sos nie wylał!... Postaw z kraja stoła!

MARYŚKA.

O! myśli waść, żem jeszcze nigdy misek nie nosiła!

KUCHARZ.

O wa! ale nie z takim specyjałem!

(Postawiwszy na stole, wychodzą na prawo).

JAN.

A to co za biały młynarz?

DYMEK *(zacierając ręce).*

Aha! to z mego consilium! Pożyczyliśmy parzypyska do gotowania od księdza archipresbitera. Stypa będzie jak się patrzy na zakończenie ceremonij funebralnych, specyjały!...

JAN.

Ale powiedzno wasze, jak to było właściwie z tym testamentem i co jest z tym skarbem, bo jakoś cicho i nikt nic nie gada?

DYMEK.

Casus zupełnie niespodziewany!

(Maryśka i Kucharz z półmiskami wchodzą z prawej strony).

KUCHARZ.

Ostrożnie!

MARYŚKA.

Juz wiem! wiem!

(Postawiwszy na stole, wychodzą na prawo).

DYMEK.

To ci będzie stypa! warto dać gęby!

JAN.

Ale kończże waść rzecz o tym testamencie i skarbie!

DYMEK.

Otóż przychodzę rankiem w poniedziałek, po wyzwolinach Pietrkowych...

(Szymon wchodzi z lewej strony).

SZYMON.

Ławę tam przysunąć — stołków jeszcze mało...

JAN *(do drzwi na prawo).*

Franek! podajno jeszcze parę stołków!

DYMEK.

Spieszmy się ustawić!... *(Franek wnosi stołki)* tak... *(liczy)* raz... dwa... trzeba ze dwadzieścia siedzeń: ksiądz, pan rajca, gwardyjan, cechowi, familija... no, a my?

SZYMON *(do Jana).*

Skoczno pan jeszcze, panie Janie, do pana Wójcikiewicza, żeby przysłał półbeczek miodu przedniejszego!... jeno rychło!

JAN.

Biegnę! *(wychodzi na lewo).*

SZYMON *(do Dymka).*

Dziękuję waści za pomoc przy tej smutnej okazyej, za którą postaram się dać zupełne ukontentowanie. Czy waść zestawił już notę wszystkich expens?

(Siada na lewo przy stoliku).

DYMEK.

Cała litanija spisana: *(czyta)* za sukna na żałobę czterdzieści złotych dwadzieścia groszy, krawcom za potrzeby osiemnaście groszy, za robotę... *(Franek wnosi wielki dzban i stawia na stole)* cztery złote, czeladnikowi od krawca na gorzałkę półtora grosza, od płaszcza panny Zofiej dwadzieścia cztery grosze, od żałoby

dziewce i chłopakom w warsztacie osiem złotych i dziewięć groszy, buty Frankowi i Wojtkowi dwa złote i szesnaście groszy, chłopu co posługiwał koło ciała jeden złoty i dwadzieścia cztery grosze, trumnę w domu zrobiono, ćwieczki pięć złotych i dwanaście groszy, hajdukowi co nieboszczyka pilnował trzy złote. Na msze święte sto złotych, na jałmużny ubóstwu sto złotych, bractwom dwadzieścia złotych, zakonom dwadzieścia złotych, dzwonnikom sześć złotych, światło trzydzieści złotych, księdzom osiemnaście złotych, grobarzom sześć złotych, na łaźnię ubóstwu dziesięć złotych — summa summarum trzysta dwadzieścia osiem złotych, trzynaście i pół grosza.

SZYMON.

Do tego wedle testamentu trzeba wypłacić śpitalom tysiąc złotych, a na msze i ubóstwu resztę dwieście złotych — summa będzie... tysiąc... dwieście!... i te tam, co waść wyliczył...

DYMEK.

Summa tysiąc pięćset dwadzieścia osiem złotych, trzynaście i pół grosza.

SZYMON.

Niech to waść donotuje — teraz jeszcze pójdę zamówić epitafium wedle życzenia nieboszczyka.

(Wychodzi na lewo).

DYMEK *(pisze).*

Doliczając pięćdziesiąt złotych za epitafium, będzie suma tysiąc pięćset siedemdziesiąt osiem złotych, trzynaście i pół grosza. Czy tu jest co już w dzbankach? *(zagląda do dużego dzbana na stole)* Aha! bene... *(upija, poczem nalewa do mniejszego dzbanka i stawia ten mniejszy pod stołem na rogu)* Reservatum... prowidencyja przedewszystkiem o sobie.

(Jan wchodzi z lewej strony).

JAN.

Przywiodłem człowieka z miodem... nic już nie brakuje. A teraz kończ wasze rzecz o tym testamencie i skarbie.

DYMEK.

Otóż, jako zacząłem, przychodzę w poniedziałek po Pietrkowych wyzwolinach i zastaje pana Szymona przetrząsającego szafę, który też zaraz mię zagadnął: „Czy wasze nie widział przypadkiem papieru, com go schował za grzbiet książki debitorów? bo to był testament rodzica!“ Ze zdziwienia zaniemówiłem z początku, aż przyszedłszy do siebie, rzekę, że go właśnie wczoraj znalazłem i przynoszę. A on powiada, jakby nic: „A to dobrze, bo zapomniałem, ile rodzic kazał rozdać ubóstwu“ — a o skarbie nie mówi nic! Pomy-

słałem: pewnikiem nie wie, że testament czytałem, ale jakby to mógł suponować, skoro dzierżyłem przecie testament w kieszeni! Tak mu rzekę, zaczynając zdaleka... — Patrzcie!... Wszakże to pan Ważka in propria persona!

(Ważka zmizerowany, o lasce, powoli wchodzi z lewej strony).

WAŻKA.

Pomagaj Bóg waszmościom!

JAN.

Na wieki!... Gość cale nie w porę.

DYMEK.

Jest zguba! *(do Ważki)* In saecula saeculorum! Gdzież to waszmość bywał? Coś słabo wyglądacie? Siadajcie waszmość!

WAŻKA.

Żebym to mógł! *(stoi oparty o poręcz krzesła)* ale ten przeklęty medyk postawił mi tyle pijawek na krzyżach i *(szepce do ucha Dymka)* że teraz ani siąść, ani leżeć, chyba bokiem! Całe życie będę pamiętał tego szelmę!

DYMEK.

Ale przecież już lepiej?

WAŻKA.

Lepiej, lepiej — ale dopiero od czasu, jak medyka wypędzić kazałem.

JAN *(na stronie).*

Szkoda rzetelna, że go wypędził!

WAŻKA.

Byłbym to zara uczynił, ale tak osłabłem po puszczeniu krwie, pijawkach i purgancyjach, że sił nie miałem, ledwo dychałem, bronić się nie mogłem, a ten wlewał we mnie całą aptekę, tfu!... wyczyścił mię na trzy lata naprzód, a wkońcu dał mi jeszcze na womit! Oj! wytargało mię to, wytargało!

DYMEK.

Aha! — de profundis!

WAŻKA.

Aż tu pod oknami mieszkania słyszę — rekwiem śpiewają!... myślałem, że sam leżę w trumnie. Pytam, kto umarł? mówią: dziadzio! Ktoby myślał! Parę dni pierwej zdrów był, gadałem z nim, a tu nagle, już po nim...

DYMEK.

Vanitas vanitatum! Nie pokazał się waszmość na pogrzebie, ani nie dał znaku życia!

WAŻKA.

Toż sam byłem prawie nieżywy, ledwo tera z łóżka wyszedłem i pierwszy mój krok tutaj — widzę przygotowanie do stypy...

DYMEK.

A co będzie za stypa! *(cmoka)* gotuje parzypysk od księdza archipresbitera... są same specyjały!

WAŻKA.

Jest pan Szymon? pani? panna?... może w kuchni?

DYMEK.

One są... a pan Szymon wróci niebawem. Poszedł zamówić epitafium dla nieboszczyka wedle testamentu.

(Franek i Maryśka przynoszą talerze i stawiają na stole, poczem wychodzą).

WAŻKA.

Jakiego testamentu?... przecież nie dziadzia, bo był mente captus?

DYMEK.

Ale testamentum napisał dawno... dawno... jak był jeszcze przy dobrym rozumie.

WAŻKA.

Co waść mówi?! zostawił testament? czyś waść czytał?

DYMEK.

A któżby?

WAŻKA.

Zostawił testament!... i waść go czytał? Powiedzże waść, czy pisał tam co o... jakich pieniądzach?... co?... czy miał co?... może co, gdzie tego... ukryte? co?

JAN *(na stronie).*

Wreszcie się coś dowiem.

DYMEK.

Niby miał, a niby nie miał.

WAŻKA.

Jakżeż to?... mówże waść! napisał, gdzie ma pieniądze? co? gdzie?... może zakopane? co? — abo — zamurowane?... co?... mówże waść!...

DYMEK.

Zgadłeś waść — ale to fiut! *(gwizda).*

WAŻKA.

Jakto fiut?

DYMEK.

Widzisz wasze, testament ja w książce znalazłem... oddałem go jako człek ućciwy a sumienny panu Szymonowi, chocia w nim była gadka o skarbie i napisane miejsce gdzie schowany, i mógłbym sam go zabrać, a nikomu nie rzec o tem słowa — ale jako człek ućciwy...

WAŻKA.

Odłóż wasze tę ućciwość i gadaj o skarbie!

DYMEK.

Otóż mówię, że jako człek ućciwy, oddałem testament i mówię do pana Szymona: Ale to rodzic ładny grosz zostawił w piwnicy!

WAŻKA.

No i cóż? cóż?...

DYMEK.

A pan Szymon na to: To waść myśli, że one tam są?... dawno je zabrałem!

JAN.

Takto było! Chwała Bogu!

WAŻKA.

Więc tych pieniędzy zamurowanych niema?!

DYMEK.

Tocby niemądry był pan Szymon, żeby ich nie zabrał, skoro po wypędzeniu Szwedów nie trzeba było się ukrywać i ociec oddał mu za życia kamienicę i dobytek cały i testament w jego ręce deponował!

WAŻKA.

Wielki Boże!... to... tych pieniędzy... już niema...

DYMEK.

Juści ich niema. Może tam co zostało panu Szymonowi z tego, może się rozeszło! Reszta pójdzie na pogrzeb i zapisy

WAŻKA.

Zrozumieć nie mogę... tożby była dziura w murze?

DYMEK.

Tak i ja suponowałem, ale pan Szymon kazał napowrót zamurować, żeby się myszy abo szczury nie gnieździły!

WAŻKA.

A bodaj go...

DYMEK.

Co waści?

WAŻKA *(do siebie).*

Moje trudy! moja choroba! wszytko na nic!

JAN.

Co waści jest?

WAŻKA.

To mię dobije, dobije!

DYMEK.

Ale co waści jest?!

WAŻKA *(zły).*

Daj mi wasze pokój!

DYMEK.

O! o! cóż waćpan taki zły! Nie zostaniesz na stypie? miód będzie przedni!

WAŻKA *(z gniewem).*

Zalewajcie się nim z pospólstwem i cieszcie się głupim testamentem!

(Wychodzi prędko na lewo zirytowany).

JAN.

Co on gada?! Cóż on ma tu nas postponować i gadać o zalewaniu się z pospólstwem? Spodziewał się czego od dziadzia, czy co?

DYMEK.

Takiś ty bratku? Toś się kręcił koło dziadzia, a teraz mówisz, że testament głupi, bo dla ciebie nic nie zapisał? A i z jakiej racyej miałby tobie co zapisywać? I mnie postponuje! Poczekajno!

JAN.

Jakoś zara mię coś tknęło, żeby nie próbować handlu z tym testamentem, mówiłem waści.

DYMEK.

Prawda! Kto to mógł się spodziewać? Kto mógł suponować, że on wie i że skarbu już niema?

JAN.

I lepiej, że go niema. Bo jakby był, toby dla mnie już żadnej nadzieji nie było! Dziesięć tysięcy! kamienica! gdzieby mię to wzięli za zięcia! Dla mnie największy skarb, to panna Zofija!

DYMEK.

Myślałem, że ja jeden posiadłem tajemnicę dziadzia — a tymczasem była to tajemnica, o której cały dom wiedział... i pan Szymon i pani Anna i panna Zofija — jeno o tem nie

mówili, bo już i zapomnieli przez tyle lat... Ale teraz musimy nauczyć mores tego pana Ważkę! Poczekajno bratku! *(popija z dzbanka).*

(Szymon wchodzi z lewej strony).

SZYMON.

Oho! waść już przy zwykłej pracy!

DYMEK

(odstawiając predko dzban).

Próbowałem tylko...

SZYMON.

No, no, mniejsza o to... Będzie nagrobek zacny z konterfektem nieboszczyka — będzie więcej kosztować — ale będzie z konterfektem... na ścianie kościelnej...

DYMEK.

Był tu pan Ważka.

SZYMON.

Nareszcie!

DYMEK.

Ale mnie się zdaje, że on coś... *(pokazuje palcem na czoło)* niezdrowy! niezdrowy!

SZYMON.

Co waść mówi?!

DYMEK.

Mnie się zdaje... że z niego nic nie będzie.

SZYMON.

Co znowu?!

DYMEK.

Hm! zawrót głowy... wleciał do piwnicy... chorował — gniewał się na waszmość i na nieboszczyka...

SZYMON.

Gniewał się? o co? jakto? na nieboszczyka?

DYMEK.

Dopytywał się o testament, mruczał coś... mówię mu, aby się pokłonił pani, a pannie Zofiej... aby na stypie został — a on na to: „Cieszcie się głupim testamentem i zalewajcie się z pospólstwem!“ — i poszedł!

SZYMON *(stukając laską)*.

Rozum go odszedł!

DYMEK.

Perswadowałem mu, aby został przecie, aby demonstrował kondolencyją — a on nas pospólstwem uczęstował i odszedł!

SZYMON.

Pospólstwem! Widzisz go, jaki magnat, co pieprz waży i oszukuje na wadze! Pospólstwem mianuje ućciwych obywateli cechowych!

DYMEK.

Bóg wie, co gadał!... A najbardziej bolało mię, że testament dziadzia nazwał głupim!

SZYMON.

Rozum postradał — masz waść racyją!... Słyszałeś Janie?

JAN.

Toć na cały głos rzekł, żebyśmy cieszyli się z głupiego testamentu, a zalewali miodem z pospólstwem!...

SZYMON.

Kalać testament nieboszczyka mego rodzica! Pospólstwem nas mianować! Mówi, że testament nieboszczyka głupi? on sam głupi! To głupio pamiętać o swej duszy, głupio pamiętać o śpitalach, głupio pamiętać o ubóstwie?!

DYMEK.

I pospólstwem nas nazwał, pospólstwem!

JAN.

Zmysły postradał!

SZYMON.

Nie inaczej, słusznie mówisz, zmysły postradał! Dobrze, że go tu niema, bo w passyej, to nie wiem, ażalibym domowi memu nie ubliżył!

(Anna i Zofija wchodzą z prawej strony).

Słyszałyście? Ważka tu był i wiecie, co powiedział?

ANNA.

Skąd mamy wiedzieć?

SZYMON.

Że testament dziadzia głupi, że nie potrzebuje stypy z pospólstwem... z pospólstwem... uważasz?

DYMEK.

My jesteśmy dla niego pospólstwem!

SZYMON.

Obywatele cechowi to dla niego pospólstwo!

ANNA.

Ja mu zawsze nie dowierzałam.

ZOFIJA.

Zawszem go nie lubiła.

ANNA.

Tyś miał do niego słabość. — Przyjdzie znowu, to się przeprosicie.

SZYMON.

Nigdy!

DYMEK.

Słusznie, bardzo słusznie, nunquam!

ANNA.

Jak przyjdzie, przemówi do ciebie, coś tam się wyekskuzuje...

SZYMON.

Powiedziałem, że nie, to nie! On tu nie przyjdzie — ja tu koniec położę wnet jego wizytom... Janie! skoro wyjdzie żałoba, oddaję ci Zochnę!...

(Jan i Zofiija równocześnie:)

JAN.

O! panie! *(kłania się do kolan).*

ZOFIJA.

Ach, ojcze! *(ściska ojca).*

SZYMON *(do Zofiej).*

Żadnej opozycyej! Powiedziałem, że koniec zrobię i zrobię!

(Anna ściska Zofiją).

JAN.

Niech Bóg zapłaci waszej miłości i pocieszy was w utrapieniu! *(kłania się Annie).*

DYMEK.

Benedico vobis!

SZYMON.

Nie bałamućcie jeno tera, *(patrzy na zegar)* goście lada chwila nadchodzić zaczną. Pan rajca Kortyni będzie miał oracyją w imieniu familiej do gości... Przygotowane wszytko, jest dość stołków, dzbanków, talerzy? i co potrzeba?... Podajcie szablę!

(Jan podaje mu szablę, Szymon przypasuje ją).

ANNA.

Wszytko gotowe.

DYMEK.

Mnie już ślinka nawet do ust cieknie.

SZYMON.

A w warsztacie stół zastawiony?

ANNA.

Czeladnicy i chłopcy już przy stole, potem przysiędziemy się do nich.

SZYMON.

Jan siądzie z nami. *(Głosy za sceną)* Słyszę gości. Matka! Zochna! chodźcie witać gości! *(Zbliżają się ku drzwiom na lewo, z tych wchodzi Kortyni, mocno gruby).*

KORTYNI.

Pomagaj Bóg waszemu domowi!

SZYMON.

Na wiek wieków!

ANNA.

Witaj panie wuju!

KORTYNI

(do Szymona, witając Annę — Zofija całuje go w rękę).

Molestacyje waszmości dziś się skończą... Smutne to officia!...

SZYMON.

Wdzięczni też jesteśmy waszej miłości za pamięć o dalekich krewniakach — i dodanie splendoru ceremoniom swoją prezencyją.

KORTYNI.

Pietas względem świętej pamięci nieboszczyka, a węzły pokrewieństwa nakładają na mnie to officium!

SZYMON.

Pozwól wasza miłość prezentować jegomości pana Adamowica, prawą rękę moją, a narzeczonego Zochny.

KORTYNI.

Pogratulować waszmości!

(Rozmawia z Anną i Zofiją — tymczasem wchodzi z lewej strony Gwardyjan, za nim Pleban).

PLEBAN.

Pomagaj Bóg temu domowi!

SZYMON.

Amen! *(kłania się obom nisko)* Dziękuję za honor odwiedzenia mych progów!

(Podczas gdy Pleban i Gwardyjan witają się z Anną i Zofiją, a potem z Kortynim — wchodzi Orlik).

ORLIK.

Czołem, panie cechmistrzu!

SZYMON.

Witajcie!

(Dymek sadza Kortyniego w środku stoła, obok Plebana i Gwardyjana, potem Orlika — następnie przybywających mistrzów koleją po obu stronach przy stole).

ORLIK *(do Kortyniego).*

Witam pana rajcę!

GWARDYJAN.

Załobna gromadzi nas okazyja!

(Kortyni, księża, Orlik rozmawiają między sobą — Szymon z Anną i Zofiją witają wchodzących, Jan posuwa krzesła siadającym, w miarę jak Dymek ich sadowi).

LASOTA i ROCIŃSKI.

Czołem waszym miłościom!

SZYMON.

Witajcie waszmoście!

LASOTA.

Czołem pani cechmistrzowej!... co to rzec miałem?... aha! rączki całuję pannie Zofiej!

ROCIŃSKI.

Czołem, panie cechmistrzu!... ścielemy się do stopek pani cechmistrzowej!

(Dymek sadza ich przy stole).

SLADER i GOMÓŁKOWIC
(wchodzą z dwoma mistrzami).

Witamy!...

(Wchodzi jeszcze kilku mistrzów — kłaniają się, witają, gwar).

SZYMON.

Siadajcie waszmoście!

ANNA.

Proszę wasze miłoście do stołu!

(Mistrzowie zasiadają).

DYMEK *(do Szymona).*

Już wszytcy są... niech waszmość siada.

(Szymon, Anna i Zofija siadają przy jednym końcu stoła — przy drugim, obok mistrzów, Dymek i Jan, podczas tego:)

KORTYNI.

Imć pan Dymek widzę nie tylko w skrypturach expertus. Dysponuje biegle jako marszałek nadworny na Zamku. *(wstaje, krząka)* Wielce miłościwi a sercom naszym uprzejmie nam mili panowie! *(nadyma się pompatycznie, wszytcy z miejsc wstają)* Opłakana zaiste żywota naszego kondycyja, że wszytko, na czem nasze zasadzaliśmy pociechy, mizernie tracić musimy. *(Maryśka, Franek, Wojtek i kucharz przysłuchują się ze drzwi na prawo)* A któż z nas o tym sławetnym imci panu Pawle nie sądził, że go długo jeszcze w żywocie peregrynującego widzieć będziemy, któż — pytam — nie sądził, że pozostanie długo jeszcze domu pociechą i ornamentem? Takci to rozum nasz w subtelne wchodząc supozycyje, zapomina na tym szerokim świata oceanie, że miałki nasz ludzki

szwankować musi dowcip, że próżno sięgać rozumem wysoko, gdy nieraz blisko upadek. Jako Dozykrat, wielki w Tebach astrolog, podczas jednej jasnej nocy gwiazdy na niebie przez astrolabium upatrował, imieniem każdą przyzwoitem tytułował, a bardzo się o górnych zamyśliwszy rzeczach, nieostrożnie nogę postawił, a deski chybiwszy w studnię wpadł głęboką... *(Maryśka wybucha płaczem)* tak i my, myśleliśmy o fortunnym żywocie imci pana Pawła, kiedy już zdradne z nożycami czekały Parki, aby przeciąć nić jego żywota, a dziś w smutnej desperacyej wspominamy już jeno tego, którego wiecznie między sobą zostawić mniemaliśmy! Oto już sędziwych lat wiek swój grobem pieczętuje! Któż nie będzie żałował tego, którego w takiej chowaliśmy reputacyej, z którego niemało miała ozdoby i familija, (której nie nowina tytuły rajcy, ławnika a cechu archimagistra), który potomkom pobożną zostawił imitacyją, opatrując hojnie śpitale, a ubóstwo i kościoły, którego szacunek obywatelów sam rekwialnej ceremoniej demonstrował aparat. Jakoż żaden z nas wątpić nie może, iż z tak obfitego zasiewku, dobry w niebie cnoty odebrały urodzaj, a konsolacyją najdujemy w zacnym jego potomku jegomości panu archimagistrze, a w jego có-

rze, która oby mu była dalszą konsolacyją wraz z przyszłym swym mężem, jegomością panem Adamowicem!... Dziękuje familija za waszą prezencyją i dotrzymanie dobrej przyjaźni zadatków, dziękuje sam nieboszczyk, aćci nie głosem, lecz swoim affektem, a przy tem dziękczynieniu pilnie proszą, abyście wasze miłoście tym łzami oblanym pogrzebowym chlebem gardzić nie raczyli!...

(Wszytcy siadają do stoła).

Zasłona spada.

KONIEC.



DRUKARNIA
CZASU